

Dziś w numerze: ● W Rydze i Tallinnie ● W cieniu-nafta ● Godzina po wieczorze ● Mefisto z za żelaznej kurtyny ● Dżdżumani i masoni ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 26 (410)
2. VII. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

Plk. mgr **HENRYK PIOTROWSKI**

● Przystępczość wśród nieletnich ● Działania zapobiegawcze

W procesie pewnego wzrostu przestępczości kryminalnej na terenie m. Łodzi udział nieletnich sprawców przestępstw wzrósł z 9,7 proc. w roku 1965 do 11,4 proc. w roku 1966. Zdecydowana większość czynów przestępczych popełnianych przez nieletnich jest skierowana przeciwko mieniu i powoduje niewielkie straty.

Czynnikami, który wpływa na nieprzystosowanie społeczne nieletnich, niewątpliwie prócz wyżu demograficznego, swoistości warunków wielkiego miasta, jest znaczny wzrost spożycia napojów alkoholowych (na terenie m. Łodzi o ponad 6 proc. w 1966 r. w stosunku do 1965 r.), wzrastająca z roku na rok liczba ucieczek nieletnich z domów wychowawczych i poprawczych, a także z domów rodzicielskich.

Elementem determinującym występowanie tych zjawisk jest nade wszystko nieumiejętność stosowania środków wychowawczych przez instytucje i organizacje do tego powołane, a szczególnie przez rodzinne domy. Skutki takiego stanu rzeczy nie dają długo na siebie czekać. Obok ogólnego wzrostu udziału nieletnich w dokonywaniu przestępstw, w łódzkiej Izbie Dziecka, w ciągu roku 1966, zatrzymano ponad 2.500 uciekinierów. W tym samym czasie łódzka MO ujawniła 1.733 dzieci moralnie zaniedbanych. W związku z tym skierowano wnioski między innymi do:

— Władzy opiekuńczej Sądu Powiatowego w 716 przyp.
— Wydziału dla Nieletn. Sądu

Dalszy ciąg na str. 3



HELENA KARWACKA

Wandurski na emigracji

Kilka lat życia łódzkiego komunisty, człowieka teatru i poety, Witolda Wandurskiego, które spędził na emigracji są kartą mało znaną. Są to lata 1928—1933 — trudne i dramatyczne, wypełnione intensywną pracą teatralną i pisarską. W tym czasie przebywał kolejno w Berlinie, Kijowie i Moskwie.

We wrześniu 1928 roku Wandurski z pośpiechem opuszczał granice Polski, uciekając przed zbliżającym się terminem procesu, oznaczonym początkowo na dzień 17 września, w wyniku którego groziło mu kilka lat więzienia. Aresztowani z nim razem w lutym tego roku za udział w kampanii wyborczej działacze KPP i ZMK otrzymali od 5 do 3 lat „ciężkiego więzienia”. On jeden tylko został na parę miesięcy przed rozprawą zwolniony z więzienia za kaucją i oddany pod nadzór policji. Uzyskał to po długich staraniach jego towarzysze partyjni, działający poprzez MOPR, którego on sam

był czynnym działaczem. Dopomógł mu w tej sprawie także ogłoszony w „Wiadomościach Literackich” (1928, nr 14) list otwarty pisarzy polskich (podpisany m. in. przez Berenta, Dąbrowską, Horzyce, Irzykowskiego, Iwaszkiewicza, Kadena-Bandrowskiego, Staffa, Struga, Tuwima, Żeleńskiego-Boya), w którym protestowali przeciwko przetrzymywaniu w więzieniu kolegi, domagając się zbadania okoliczności aresztowania „zatrzymanego na ulicy” Wandurskiego i zwrócenia mu wolności.

Partia zorganizowała także jego wyjazd z kraju. Opuszczał go szlakiem dobrze znanym polskim komunistom, przekraczając granicę na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Pierwsze emigracyjne troski daly znać o sobie niemal natychmiast po jej przebyciu. Pisał o nich w liście do francuskiego komunisty, Stefana Priacela:

„Zbiegłem przed procesem z Polski i siedzę pod Gdanskim, w Gleskau, nad morzem. Jestem jeszcze bardzo zmęczony i wyczerpany nerwowo (żona z rocznym dzieckiem pozostała w Łodzi — musieliśmy się rozstać na lat kilka) [...]. Stoł przedemina obecnie w całej ostryści pytanie: co robić dalej, z czego żyć i jak sobie radzić na emigracji? Pewna pomoc pieniężna mam na razie zapewniona. Osiem dni chciałbym się na Zachodzie. Znam niemiecki — i napisałem do swych przyjaciół do Berlina, by mi udzielili wiadomości co do warunków pracy w stolicy Niemiec. Miałbym wielką ochotę na Paryż — ale, jak sami wiecie, nie znam języka. Czy z tym, co umiem — mógłbym sobie dać na razie radę? I czy są widoki na pracę zarobkową wśród robotników — względnie inna — w Paryżu?” (list z 13. IX. 1928).

Pisał także do Brunona Jasińskiego przebywającego w tym czasie w Paryżu, ale ten miał już poważne kłopoty z francuską policją i nie mógł udzielić mu pomocy. Przy najbliższej okazji przybył jednak do Berlina, gdzie w rezultacie osiadł Wandurski; by przedyskutować z nim m. in. interesujące ich wspólnie sprawy robotniczego teatru,

określić jego szczególne zadania wśród emigracyjnego proletariatu.

W BERLINIE

Na decyzji Wandurskiego pozostania w stolicy Niemiec zaważyły przede wszystkim potrzeby Partii, która wśród przybywających masowo do Niemiec sezonowych robotników rolnych prowadziła szeroko zakrojoną działalność polityczną i oświatową. Teatr robotniczy mógł w tej mierze oddać niezwykle cenne usługi, powierzono więc kierownikowi Łódzkiej Sceny Robotniczej zorganizowanie takiej placówki. O jej zadaniach Jasiński pisał: „Polscy robotnicy sezonowi, wracający do Polski — winni przywieźć tu dobre ziarno rewolucyjnego słowa”.

Z zadania tego wywiązał się Wandurski sprawnie i szybko, już bowiem pod koniec 1928 roku zaczął działać w Berlinie niewielki zespół amatorski, składający się z pracujących tu polskich robotników, który przyjął nazwę: Polska Scena Robotnicza w Berlinie. Pierwszy większy występ młodego zespołu został przygotowany na dzień 20 stycznia 1929 roku wchodząc w skład poranku zorganizowanego w ramach obchodzonych uroczystości rocznic śmierci Lenina, Liebknechta i Luksemburg. Na jego program złożyły się chóralne recytacje, inscenizacje pt.: „Wojna—wojnie” i „Inwalidów” Standego oraz przemówienie i recytacje kierownika Sceny. Z występu tego zachowała się swoiście oryginalna recenzja, której autorem był agent polskiego Konsulatu w Berlinie. W jego tajnym raporcie czytamy:

„Poziom artystyczny chóralnych recytacji — mierzny; cokolwiek lepszym był obrazek sceniczny pt. „Inwalidzi” [...]. Dobrym w treści i formie, wypowiedziane ze swada oratorska, było przemówienie W. Wandurskiego na temat: „Lenin, Liebknecht, Luksemburg a wojna”, przedstawiające ich działalność i znaczenie dla rozwoju komunizmu oraz również do-

skonała była recytacja W. Wandurskiego utworu „Pochód umarłych” S. Olbrycha. Wśród obecnych na sali widać było zainteresowanie przedstawieniem; widocznym to było z oklasków dawanych po skończeniu obrazu czy przemówienia, co zresztą jest zrozumiałe z tego względu, że byli to z małymi wyjątkami starzy zwolennicy komunizmu”.

Obok działalności politycznej i kulturalnej podjął Wandurski w Berlinie twórczość pisarską, oddając pióro aktualnym potrzebom polityki Partii. Powstał tu w krótkim czasie niewielki utwór dramatyczny pt.: „W hotelu „Imperializm”, agitacyjny „plakat sceniczny”. Zastosował w nim metodę autentycznej dokumentacji, tzw. „literatury faktu” cytując w tekście sztuki fragmenty odezwy Kominternu z sierpnia 1928 roku, która mówiła o groźbie wojny i interwencji, skierowanej przeciwko ZSRR i konieczności podjęcia najbardziej stanowczych środków obrony. Była to jednocześnie podstawowa teza polityczna utworu. Oprócz tej dyktowanej potrzebami chwili sztuki agitacyjnej, zaczął powstawać w Berlinie nowy dramat, bardziej artystycznie ambitny, w którym pragnął przedstawić dzieje KPP w Polsce. Tu zaledwie go rozpoczął a zakończyć miał dopiero za parę lat w Moskwie.

Plakat sceniczny „W hotelu „Imperializm” wystawiła w Berlinie zorganizowana przez Wandurskiego Scena Robotnicza 28 kwietnia 1929 roku, inaugurując nim obchody pierwszomajowe, które w tym roku w Niemczech były szczególnie burzliwe. Represje, które w związku z tym spotkały wielu działaczy komunistycznych, dotknęły także Wandurskiego. Niedługo potem został wydany przez policję niemiecką, kończyło to

Dalszy ciąg na str. 7



Dotychczasowy przebieg nadzwyczajnej sesji ONZ, zwołanej — przypomnijmy — na wniosek radziecki, upoważnia do wyciągnięcia kilku wniosków. Zabrało już bowiem głos ok. 30 mówców, a więc znaczna część z ogólnej liczby 78 przewidzianych dyskutantów.

Pierwszy i zasadniczy wniosek — to celowość zwołania sesji. Z toku wypowiedzi wynika jasno jak bardzo była ona potrzebna, i to z trzech powodów: po pierwsze — dlatego, że może skutecznie przyczynić się do przywrócenia pokoju na Bliskim Wschodzie, po drugie — ponieważ pozwoliła ONZ „odnaleźć” swą rolę, a więc i odbudować autorytet, po trzecie — ponieważ otworzyła możliwość bezpośredniego kontaktu wielkich mocarstw.

Sesja zderzyła stanowiska ZSRR i USA — i jak to zawsze bywa w momentach niebezpiecznych dla świata — spowodowała polaryzację stanowisk innych krajów.

Nastąpiła znaczna radykalizacja „trzeciego świata”, co znalazło wyraz w silnym nurcie antykolonialnym dyskusji, dalsze oddalenie Francji od polityki atlantyckiej oraz zbliżenie do Stanów Zjednoczonych takich krajów, jak Belgia, Dania, a częściowo i Włochy, których przedstawiciele nie zajęli samodzielnego stanowiska.

Niezwykle zwięźle rozegrał partię brytyjski minister spraw zagranicznych — Brown, który — jak się wydaje — usilnie dążył do pozostawienia otwartej furtki wobec świata arabskiego.

W dyskusji wystąpił także premier Cyrankiewicz. Przedstawił on stanowisko Polski, stwierdzając, że nigdy nie pogodzimy się z agresją Izraela i aneksjami terytorialnymi i określając jako kardynalny warunek pokojowego ułożenia stosunków na Bliskim Wschodzie wyrażenie się przez Izrael rezultatów swej napaści.

Nie przesądzając, jakie stanowisko zajmie ostatecznie ONZ, są podstawy do przypuszczeń, że żądanie bezwarunkowego wycofania wojsk izraelskich z okupowanych terenów arabskich może uzyskać poparcie zdecydowanej większości (korespondenci nowojorscy obliczają, że ok. 70 delegacji).

Nie trzeba czytelnikom uzasadniać, jak istotna to sprawa — niedopuszczenie do premiowania agresora. I to nie tylko z punktu widzenia pokoju na Bliskim Wschodzie. W „trzecim świecie” jest ponad 50 nierozwiązanych, większych lub mniejszych, kwestii terytorialnych. Pozostawienie bez odpowiedzi przez parlament świata aneksji, osiągniętej na drodze militarnej, mogłoby mieć nieobliczalne skutki — zachęcić do rozstrzygnięcia owych sporów przez wszczęcie lokalnych wojen. Stawka jest więc bardzo wysoka.

Tymczasem — jak wskazują doniesienia agencji — Izrael w dalszym ciągu brutalnie wysiedla ludność arabską w północnej części Synaju, co może wskazywać, że zamiar zagarnięcia ziem w rejonie Gazy. Nie musimy dodawać, że do tego zachęca go poparcie udzielone mu przez Stany Zjednoczone na forum ONZ.

W czasie gdy w Nowym Jorku toczy się debata — w Kairze przebywała delegacja radziecka z przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR — Podgornym, której celem było przeprowadzenie rozmów politycznych z prez. Naserem.

Chciałbym podkreślić niezwykle entuzjastyczne przyjęcie, jakie Egipcjanie zgotowali Podgornemu. Jest ono miernikiem sympatii, jaką świat arabski darzy Związek Radziecki. Przykład ten pozbawia niektóre ośrodki zagraniczne podstaw do prób przeczystawiania krajów arabskich Związkowi Radzieckiemu.

Konflikt bliskowschodni — jak wykazali to w swoich wystąpieniach w ONZ premierzy Kosygin i Cyrankiewicz, a o czym na konferencji prasowej mówił także prezydent de Gaulle, powinien być analizowany na tle ogólnej sytuacji politycznej, w powiązaniu z interwencją zbrojną USA w Wietnamie, jako że pokój jest niepodzielny.

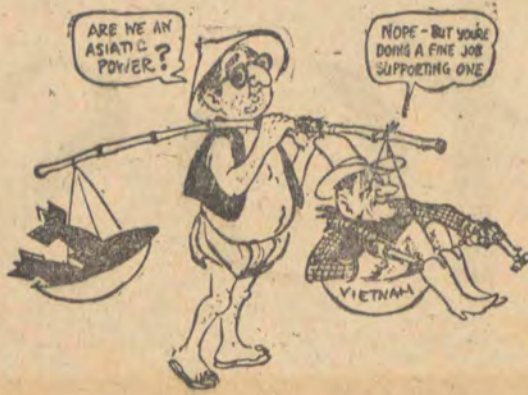
W tym kontekście trzeba spojrzeć na poprzedzone długimi przygotowaniem spotkanie Johnsona z Kosyginem w Glassboro, w czasie których omówiono najważniejsze aktualne zagadnienia międzynarodowe. Ich znaczenie wynika z uwagi i odpowiedzialności, jaką ponoszą wielkie mocarstwa za pokój światowy.

Wiadomość o rozmowach radziecko-amerykańskich na najwyższym szczeblu przyjęta została w ONZ z zadowoleniem i nadzieją, chociaż wszyscy zdają sobie sprawę, iż nie mogą one przynieść konkretnych rozwiązań, a tylko bezpośrednią wymianę poglądów i — być może — zarysowanie pewnych perspektyw. Mimo to uznano je za jak najbardziej celowe i pożądane. Potwierdzają one jedynie słuszną tezę, że konflikt bliskowschodni może być rozwiązany tylko na płaszczyźnie politycznej.

I na zakończenie jeszcze jedna uwaga, tym razem o ekonomicznym aspekcie agresji Izraela. Chodzi — rzecz oczywista — o naftę, a ściślej o zamknięcie jej dostaw dla krajów zachodnich. Jak ostatnio ujawniono, koncerny brytyjskie, amerykańskie i zachodniemieckie poniosły już z tego tytułu straty sięgające ok. 200 mln dolarów. Sądząc, że naftowa broń, po której słusznie sięgnęli Arabowie, odegra swoją rolę w bliskowschodnim konflikcie.

W. SŁAWSKI

Technika TYGODNIA



Brown: — Czy my jesteśmy krajem azjatyckim?
Johnson: — Nie, ale świetnie spełniacie swoją rolę.

Prezydent de Gaulle: „Od chwili gdy wojna rozszerzyła się na Bliskim Wschodzie Francja uważa, że nie ma żadnej szansy doprowadzenia do pokojowego załatwienia tej sprawy w obecnej sytuacji światowej, chyba że zjawiliby się nowy element światowy. Tym elementem mogłoby być i powinno być być zakończenie wojny w Wietnamie przez położenie kresu obecnej interwencji (...) Duch i fakty wojny szerzą się ponownie na świecie. Jeden konflikt przyczynia się do wywołania drugiego”.

Budżet wojskowy USA osiągnął rekordową w czasie pokojowym cyfrę 70 miliardów dolarów. Z sumy tej przeznaczono na wojnę w Wietnamie 20 miliardów dolarów.

Przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR N. Podgorny przybył na rozmowy z prezydentem Naserem do Kairu. Wkrótce po przyjeździe radziecki ma stanąć oświadczył: „Imperialiści i ich lokaje myślą, że przybyliśmy tutaj jedynie dla mówienia o przyjaźni między nami. Udowodnimy im, że chodzi o coś więcej niż tylko o konwersacje”. N. Podgornemu obok innych osobowości towarzyszył marszałek Zacharow, Szeft Szlabu Generalnego Armii Radzieckiej.

Liczba uchodźców arabskich wysiedlonych z terytorium okupowanego przez wojska Izraela sięga już 200 tysięcy osób.

W piątek, a następnie niedziela, odbyło się spotkanie przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR Aleksieja Kosygina, przebywającego w Nowym Jorku na nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ z prezydentem USA L. B. Johnsonem.

Agencja AFP komentując spotkanie premiera Kosygina z prezydentem Johnsonem pisze, że prezydent USA wyraźnie pragnął choćby prywatnej rozmowy z premierem radzieckim w celu omówienia głównych problemów międzynarodowych — poczynając oczywiście od Bliskiego Wschodu, a kończąc na nierozstrzygnięciu broni jądrowej, poruszając o drodze zwłaszcza sprawie Wietnamu i obrony przeciw-rakietowej.

W Moskwie obradowało Plenum KC KPZR które zaakceptowało w całej pełni linię polityczną jak również praktyczne posunięcia Biura Politycznego KC mające na celu przerwanie agresji ze strony Izraela. Najważniejszym zadaniem — brzmi oświadczenie Plenum — jest nie pozwolić agresorowi na

korzystanie z rezultatów jego zdradzieckich działań; Związek Radziecki uczyni wszystko, co jest konieczne, aby pomóc narodom krajów arabskich w daniu zdecydowanej odprawy agresorowi.

Korespondenci z Tel Awiwu donoszą, iż miasteczka, wioski i poszczególne gospodarstwa rolne w rejonie rzeki Jordan i okupowanej części Syrii, po wysiedzeniu ludności arabskiej, zajmowane są przez brygady członków izraelskiej organizacji paramilitarnej. Zadaniem brygad jest przygotowanie podbitych obszarów do osiedlenia tam rozbioru izraelskich.

Senat amerykański poparł senatora Thomasa Doda za „postępowanie sprzeczne z ogólnie przyjętymi zasadami moralności”. Doda dowiodł dowodzenie wykorzystanie dla swych prywatnych celów 116 tysięcy dolarów.

Ministerstwo spraw zagranicznych ZSRR złożyło kategorię protestu ambasadorowi ChRL w Moskwie w związku z „nieodpowiedzialnie wrogimi poczynaniami wobec osób oficjalnych — pracowników przedstawicielstwa handlowego ZSRR w Chińskiej Republice Ludowej”. Radziecki MSZ żąda surowego ukarania osób winnych złamania i pobicia dwóch pracowników ambasady.

Wielka Brytania przygotowała się do wymiany dotychczasowego systemu podziału waluty na układ dziesiętny. W parlamencie dyskusja towarowa kwestie nazwy nowej waluty. Postanowiono utrzymać dotychczasową nazwę funta-szterlinga.

Zdaniem teoretycznego organu KC KPChin „Honqu” istotny i oryginalny wkład Mao Tse-tunga do marksizmu polega na: kontynuowaniu walki klasowej w warunkach ustroju socjalistycznego; wskazaniami, że rewolucja jest możliwa nawet w warunkach dyktatury proletariatu.

W Moskwie zakończyły się radziecko-japońskie rozmowy gospodarcze. Podstawowym problemem obrad były plany współpracy gospodarczej między ZSRR i Japonią w dziedzinie rozwoju przemysłu leśnego i drzewnego na Dalekim Wschodzie, zagospodarowania i eksploatacji złóż miedzionośnych na Syberii, wydobywa i transportu ropy naftowej w tymże rejonie oraz rozbudowy i modernizacji radzieckich portów dalekowschodnich. W czasie rozmów uznano za konieczne utworzenie komisji ekspertów w wymienionych wyżej dziedzinach.

Delegacja chińskiej Czerwonej Gwardii przybyła do Tirany gdzie weźmie udział

w pracach V Kongresu Albańskiego Związku Młodzieży. Zwraca uwagę fakt, że delegacja Czerwonej Gwardii po raz pierwszy wystąpiła na arenie międzynarodowej, jako jedyny przedstawiciel organizacji młodzieży chińskiej.

Przyrost naturalny w Bułgarii wykazuje nieustanny spadek. Bułgaria liczy obecnie 8,3 miliona mieszkańców. Roczny przyrost ludności wynosił w 1945 roku — 11,9 proc., w 1950 — 10,7, a w 1963 — 8,7. Dane statystyczne wskazują na stałe zmniejszanie się odsetka ludzi młodych i wzrostu odsetka ludności w wieku średnim i starszym. Jak stwierdzają naukowcy, aby odbudować równowagę struktury ludności pod względem wieku, każda rodzina bułgarska powinna mieć 3-4 dzieci. Tymczasem młode małżeństwa nie chcą mieć tak licznych potomstwa. Twierdzi się, że wyludnienie tego zjawiska należy szukać w dziedzinie socjalnej — w warunkach mieszkaniowych, materialnych itp.

W radzieckim miesięczniku „Sowietskoje gosudarstwo i prawo” ukazał się artykuł pt. „Ideologia polityczno-prawna a kryzys władzy politycznej w Chinach”. Autor artykułu poddaje analizie genetyczne poglądów reprezentowanych przez czołowych przywódców chińskich, zwłaszcza Mao Tse-tunga. Poglądy polityczne Mao — pisze autor artykułu — kształtowały się na stosunkowo wąskiej bazie chińskiej praktyki okresu dłużej niż 40 lat wojen domowych, w oderwaniu od wielostronnego doświadczenia międzynarodowej klasy robotniczej... Niemarksistowskie cechy poglądów Mao Tse-tunga — kontynuuje autor — na państwo socjalistyczne, rozrastają się z biegiem czasu w subiektywistyczny i pragmatyczny system. Ten system poglądów wychodzi z założenia, że dla osób lub grup sprawujących najwyższą władzę polityczną normy prawne nie mają mocy wiążącej. System ten przewiduje dławienie wszelkich, w tym również rzekomych, oponentów politycznych, oraz możliwość manipulowania narodem jak „czystą kartką papieru”.

W ZRA obowiązuje zakaz wyświetlania filmów angielskich, zakaz zawiązania do postów egipskich statków brytyjskich i amerykańskich. Podobny zakaz dotyczy też angielskich samolotów komunikacyjnych.

Król Jordanii Husajn: „Mamy niepodważalne dowody, że Izrael planował zaatakowanie wszystkich krajów arabskich niezależnie od kroków podjętych przez Egipt w odniesieniu do sił ONZ... Dokumenty znalezione przy izraelskich pilotach zestrzelonych nad arabskim terytorium zawierają wysoce dokładne i tajne informacje do tytułu instalacji wojskowych i lotnisk w Jordanii, ZRA, Syrii i Izraelu. Izrael od dawna miał przygotowane plany uderzenia na obszary arabskie”.

W ZRA obowiązuje zakaz wyświetlania filmów angielskich, zakaz zawiązania do postów egipskich statków brytyjskich i amerykańskich. Podobny zakaz dotyczy też angielskich samolotów komunikacyjnych.

Król Jordanii Husajn: „Mamy niepodważalne dowody, że Izrael planował zaatakowanie wszystkich krajów arabskich niezależnie od kroków podjętych przez Egipt w odniesieniu do sił ONZ... Dokumenty znalezione przy izraelskich pilotach zestrzelonych nad arabskim terytorium zawierają wysoce dokładne i tajne informacje do tytułu instalacji wojskowych i lotnisk w Jordanii, ZRA, Syrii i Izraelu. Izrael od dawna miał przygotowane plany uderzenia na obszary arabskie”.



Przed 30 laty faszystowski legion Condor zbombardował baskijską miejscowość Guernica

Hitler do Duce: — Spójrz, to ci co robili przed 30 laty tyle krzyku z naszego powodu.

Nożycami przez PRASĘ

DRIAKWIE FLASZENA

Ludwik Flaszen, który przed laty zyskał sobie nazwisko rozpoczynając dyskusję o schematyzmie, wystąpił z „głosem niewiernego” we wrocławskim miesięczniku „Odra”, odnoszącym się do sytuacji w naszej współczesnej literaturze, a właściwie w prozie. Opowiada się po stronie przeszkód i trad-

ności, w ich przeczytaniu widzi szansę. „Gdzie konieczności obiektywne stawiają literaturze przeszkody, tam jest ona potrzebna i autorytet jej stoi wysoko w oczach społeczeństwa”.

Wytacza nie nowy, ale zawsze dość aktualny zarzut: „Literatura nasza nie umie we właściwy, tj. płodny dla siebie sposób, ukończyć konieczności.

Brak jej na to poczucia perwersji. Jest prostodusza w pokorze — i prosto duszna w bunie”.
A oto drakwie Flaszena: „Nie szczerości trzeba naszej dobroduszniej, naszej poczciwej literaturze. Trzeba jej trudnej sztuki przewrotności. Zimnego ognia. Czarnej bieli. Pokornej rewolty”.

Z tym, że nadmierna przewrotność i perwersja to w końcu sztyf i hermetyczność...

JAK NAS WIDZĄ?

Dwutygodnik „Teatr” omawia kilka lódzkich przedstawień teatralnych. Irena Kellner zamieszcza „Mały przegląd teatrów

lódzkich”. Wypada zapoznać się z paroma jej opiniami.
O „Kartotecz” Różewicz: „Przedstawienie ma realność i zmienność obrazów, tak charakterystyczną dla widzenia sennego. Wszystkie postacie są całkowiście realne, choć nie realistyczne; nie ma tu obyczajowości”.

Gani natomiast autorka scenografii jako „zbyt realistyczną, dosadną”. Chwali Bogusława Sochnackiego, wyróżnia też i innych wykonawców.
„Biała diablica” Webster budzi zdecydowane zastrzeżenia. „Biała diablica”, zainscenizowana w teatryku studenckim jako coś w rodzaju makabryczki komicznej, mogłaby

Przestępczość wśród nieletnich

Działania zapobiegawcze

Dalszy ciąg ze str. 1

Powiatowego	w 216	"
Władz Oświatowych	w 588	"
Rad Narodowych (Wydz. Zdrowia, Opieki Społecznej i Zatrudnienia)	w 432	"
Organizacji społecznych	w 126	"

DZIAŁANIA ZAPOBIEGAWCZE

Na terenie Łodzi, już od szeregu lat, podejmuje MO wiele przedsięwzięć, zmierzających do stałego doskonalenia funkcji ścisłego, a przede wszystkim działań o charakterze zapobiegawczym.

W latach 1966 i 67, na obszarze Łodzi, milicja rozszerzała wypracowane dotychczas formy działań zapobiegawczych, których charakterystyczną cechą było inspirowanie szerokiego frontu społecznego zaangażowania zainteresowanych instytucji i organizacji społecznych. Funkcjonariusze MO, członkowie ORMO, nauczyciele oraz aktywiści FJN, prowadzili od dłuższego czasu wzmożone działania, polegające na kontroli zachowania się nieletnich w miejscach publicznych, reagowania na ich niewłaściwe postępowanie oraz, w uzasadnionych wypadkach, powiadamiania o swych spostrzeżeniach rodziców i szkoły (tylko w roku 1966 było 8.357 tego rodzaju interwencji). W wyniku wspólnych wysiłków jednostek MO i ORMO znacznie wzrosła liczba członków grup pedagogicznych ORMO oraz ich aktywność. Aktualnie, w skład ormowskich grup pedagogicznych działających na terenie miasta wchodzi 287 członków ORMO oraz 240 aktywistów pozostających poza organizacją ormowską, lecz ściśle z nią współpracujących. Na przestrzeni ubiegłego roku rozwinęły się nowe formy działalności grup pedagogicznych wice: — działanie w zasięgu po sterunków blokowych ORMO kuratela nad nieletnimi, korepetycje dla uczniów bardzo potrzebujących tej pomocy, dalsze zacieśnianie kontaktów z kierownictwem szkół, świetlic i placów zabaw.

W wyniku staran KM MO i KD MO oraz Kuratorium i Insp. Oświaty, podjęto w minionym okresie kilka ciekawych inicjatyw, które pozwoliły na dalsze zbliżenie funkcjonariuszy MO do nauczycieli, młodzieży i rodziców. Do bardzo cennych przedsięwzięć zaliczamy właśnie szeroko praktykowane w 1966 r. spotkania oficerów KM MO z młodzieżą ostatnich klas zasadniczych szkół handlowych i techników. W spotkaniach tych, łącznie, wzięło udział około 1.500 uczniów. Przedsięwzięciem tym o charakterze profilaktyczno-wychowawczym objęto absolwentów szkół, którzy podejmują prace w instytucjach i przedsiębiorstwach szczególnie narażonych na przestępstwa gospodarcze (młodzi innymi handel, gastronomia, piekarnictwo, budownictwo, transport przetwórstwo spożywcze). W czasie tych spotkań funkcjonariusze MO poruszali zagadnienia troski o miłość społeczną, szkodliwość przestępstw gospodarczych, przejawów marnotrawstwa i niegospodarności, dyskutowali z młodzieżą na temat środków zapobiegających tym szkodliwym zjawiskom.

Innym bardzo ważnym i ciekawym przedsięwzięciem podjętym przez nas była przeprowadzona w miesiącach wrzesień — listopad 1966 r. (w ramach pierwszych wywiadów) akcja poszukiwania wygłaszanych przez funkcjonariuszy MO dla rodziców uczniów wszystkich typów szkół łódzkich (od VI klasy szkoły podstawowej wzwzł., poprzez zasadnicze szkoły zawodowe, licea i technika). Ogółem odbyło się 350 takich spotkań z udziałem 150 funkcjonariuszy MO w 203 szkołach. Uczestniczyło w nich około 35.000 rodziców.

CO MÓWIĄ ANKIETY?

W świetle wypowiedzi szkół (co uczyniły poprzez wypełnienie odpowiednich ankiet) oraz osobistych spostrzeżeń funkcjonariuszy MO biorących udział w spotkaniach, przyjęta przez nas forma kontaktu z rodzicami jest oceniana jako słuszną i pożyteczną. Uzasadniając słusność omawianej akcji, większość przedstawicieli szkół stwierdza, iż jest to dobra forma zapoznawania społeczeństwa z problematyką współczesnej młodzieży oraz przestępczości nieletnich. Ogromna liczba wypowiedzi wyraża opinię, iż omawianie tych spraw zaostrzy czujność rodziców i skieruje ich uwagę, w większym stopniu,

niż dotychczas, na to, co też robią ich dzieci, w czasie wolnym od zajęć.

Najistotniejsze są jednak wnioski i propozycje dotyczące współdziałania szkół z MO. Można tutaj wyodrębnić dwie grupy opinii. Na pierwszy plan wysuwa się najczęściej grupa szkół, które wypowiedziały się za utrzymaniem stałego, lub przynajmniej częstszego kontaktu z funkcjonariuszami MO. Biorąc udział w szkole pomocą w trudnych sytuacjach, prowadzi rozmowy z uczniami sprawiającymi kłopoty wychowawcze. Wiele szkół postuluje zacieśnienie współpracy w zakresie kontroli młodzieży, przebywającej poza domem i szkołą w godzinach rannych i wieczornych, wiele prosi o informowanie szkoły o wypadkach przestępstw i wykroczeń popełnianych przez uczniów. Dalej, zgłaszane są propozycje nawiązania kontaktu z młodzieżą, organizowania lekcji wychowawczych z udziałem przedstawicieli MO, uzgadniania tematów prelekcji z poszczególnymi szkołami, ilustrowania pogadarek filmami, planszami i innymi materiałami poglądowymi.

W świetle oceny władz oświatowych oraz własnych spostrzeżeń stwierdziliśmy, iż przedsięwzięcia forma współpracy ze szkołami okazała się jak najbardziej słuszną i spełnia poważną rolę społeczno-wychowawczą.

KWESTIE RESOCJALIZACJI

Jednostki MO w Łodzi wiele uwagi poświęcają sprawom resocjalizacji młodzieży społecznie nieprzystosowanej. Prace te prowadzone są wielokierunkowo przy aktywnym współdziałaniu różnych instytucji i organizacji społecznych. Nasza wspólna troską jest stałe zacieśnianie współpracy dzielnicowych MO z kuratoriami sądowymi w zakresie nadzoru nad nieletnimi, którzy popełnili przestępstwo. Aktualnie, w Łodzi, dozorem jest objętych 555 nieletnich.

W ramach współdziałania przyjęto praktykę systematycznego organizowania spotkań z młodzieżą w przeszłości karana, z jej rodzicami lub opiekunami (z udziałem przed stawicieli sądu dla nieletnich, instancji partyjnych, prezydium rad narodowych, organizacji młodzieżowych i społecznych). Spotkania te pozwalają nam na bliższe poznanie środowiska, w określonych przypadkach służy rada i pomoc. Praktycznym i konkretnym wyrazem naszego działania jest kontynuowanie akcji kierowania młodzieży do OHP. Tylko w 1966 r. jednostki MO skierowały do hufców pracy 473 osoby. W tym samym czasie w 327 przypadkach jednostki nasze udzieliły młodzieży indywidualnej pomocy w uzyskaniu pracy, podjęcia lub kontynuowaniu nauki.

PERSPEKTYWY ŻYCIOWEGO STARTU

Podsumując różnorodne przedsięwzięcia zmierzające do rozwiązania problemu dość licznej, nie uczącej się i nie pracującej grupy młodzieży z terenu miasta, staraniem Komendy MO m. Łodzi i Zarządu Łódzkiego ZMS, w roku 1966 zorganizowano kursy przygotowujące do pracy w atrakcyjnych dla młodzieży zawodach (m. in. kursy przysposobienia do zawodu mechanika samochodowego). Całkowicie sfinansował je Uniwersytet Robotniczy ZMS. Pieczę pedagogiczną nad kursami objęto Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi, nadzór wychowawczy i organizacyjny — Zarząd Łódzki ZMS oraz MO.

Rekrutację kandydatów na kursy przygotowała i przeprowadziła Komenda MO m. Łodzi przy udziale ZL ZMS. We wszystkich komendach dzielnicowych MO organizowano spotkania z młodzieżą wytypowaną na podstawie rozeznania pracowników MO. Była to młodzież, która po ukończeniu szkoły podstawowej nie podjęła nauki ani pracy, karana w przeszłości za przestępstwa kryminalne lub znana organom MO z szeregu wybrzków, stanowiąca potencjalne zagrożenie dla stanu bezpieczeństwa i porządku w mieście. Działające przy KD MO komisje rekrutacyjne zakwalifikowały na kursy 275-osobową grupę młodzieży w wieku 15—18 lat.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że 50 procent uczestników zorganizowanego przez ZMS kursu stanowi młodzież w przeszłości karana, zaś 50 proc. młodzież wywodząca się ze środowisk znanych MO, utrzymujących kontakty z elementem przestępczym, grupujących się w obojętne objętych milicyjnym rozpoznaniem.

Nauka rozpoczęła się w październiku ub. roku. Jej przebieg wykazał, iż zorganizowanie kursów zawodowych dla młodzieży społecznie nieprzystosowanej było przedsięwzięciem słusznym i pożytecznym. Uczestnicy kursu byli zdyscyplinowani, pilni w nauce, a milicyjne kartoteki nie notowały przestępstw przez nich popełnianych, ani innego rodzaju naruszenia norm społecznie przyjętych. Kurs zakończył swą działalność w końcu kwietnia br. Absolwenci otrzymali świadectwa i kolejno podejmują pracę w zdobytych zawodach. Z wynikiem pozytywnym egzaminy zdały 143 osoby. W trakcie trwania nauki zrezygnowały 132 osoby, spośród których 111 podjęło pracę lub naukę w innych zawodach. Podstawową przyczyną

przerwania nauki na kursach, w wielu wypadkach, był brak odpowiedniego przygotowania ogólnego. Osobami, które zrezygnowały z kursów, a nie podjęły żadnej innej pracy ani nauki (21 osób), interesujemy się w dalszym ciągu.

143 absolwentów kursów, organizatorzy tej akcji kierują do pracy:

- 40 najzdolniejszym kursantom wyróżniającym się pozytywnymi wynikami w nauce, umożliwiono dalsze doskonalenie zdobytych kwalifikacji zawodowych, kierując ich na bezpłatne kursy kierowców zawodowych, finansowane przez UR ZMS;
- 53 osoby otrzymały już skierowania do różnych zakładów pracy;
- w sprawie przyjęcia do pracy pozostałych 50 osób komisja (składająca się z przedstawicieli Uniwersytetu Robotniczego ZMS, Wydziału Zatrudnienia PRN m. Łodzi, Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi oraz Komendy Miejskiej MO w Łodzi) pertraktuje z dyrekcjami poszczególnych zakładów pracy.

Zakończenie działalności, związanej z przy sposobieniem wymienionej grupy młodzieży do podjęcia samodzielnej pracy zawodowej, przewidziano dopiero po skierowaniu wszystkich absolwentów do zakładów pracy.

Stworzenie perspektywy życiowego startu tej grupie nie rozwiązuje jeszcze problemu młodzieży moralnie zagrożonej. Według naszego rozeznania, istnieje w mieście około tysiąca nieletnich i młodocianych, którzy z różnych względów przegrali naukę, nie podejmując żadnej pracy. Nadmiar wolnego czasu oraz nieuniknione często kontakty z elementem przestępczym powodują postępujący proces ich demoralizacji, w szeregu wypadków doprowadzają do konfliktów z prawem. Praktyka dowiodła, iż w wypadkach niestosowania szerokiej profilaktyki, z tych właśnie środowisk, wywodzi się nowi przestępcy. Wypracowując wciąż nowe formy działań prewencyjnych musimy w naszej działalności stosować przede wszystkim te, które sprawdzone w praktyce okazują się najbardziej skuteczne. Wydaje się, że w tej sytuacji istnieje zarówno potrzeba, jak i realna możliwość zorganizowania w br., w porozumieniu z władzami miasta, podobnych kursów na dotychczasowych zasadach.

PROBLEMY ZATRUDNIENIA

Doświadczenia łódzkich jednostek MO, poparte przykładami szeregu spraw i danych statystycznych wskazują, iż poważną grupę (około 40 proc.) ujawnionych sprawców przestępstw kryminalnych stanowią osoby, które od dłuższego czasu nigdzie nie pracują mimo że zarówno ich wiek, jak i stan zdrowia nie są przeszkodą do podjęcia pracy zarobkowej społecznie użytecznej. Skłoniło to nas do szerszego zainteresowania się tymi osobami. W II półroczu 1965 r. podjęliśmy zadanie pełnego ujawniania i rejestracji osób nie pracujących. Mamy obecnie, zarejestrowanych ponad 1.800 osób. Lista ta jest systematycznie aktualizowana. Przyjęliśmy zasadę, że w rejestrze tej kategorii osób uwzględniono przede wszystkim te, których stan pozostawiania bez pracy i tryb życia uzasadniają podejrzenia o prowadzenie działalności przestępczej. Z codziennych doświadczeń milicji wynika bowiem, że sprawcami takich przestępstw, jak rozbój, włamania i kradzieże są głównie osoby nie pracujące, które usiłują drogą przestępczą zdobyć środki na życie. Ich notorycznemu nierobstwu towarzyszy również, prawie zawsze, alkoholizm, stanowiący jedną z przyczyn przerwania pracy, a następnie jej niepodjęcie. Dlatego wśród osób wezwanych przez komisje społeczne znaleźli się ludzie, którzy co najmniej od 3 miesięcy nigdzie nie pracują oraz tacy, o których wiadomo, że nader często zmieniają miejsce pracy, a okres czasu, kiedy nie pracują jest z reguły dłuższy od okresu zatrudnienia.

Rejestracja a następnie milicyjny nadzór nad osobami nie pracującymi jest wynikiem szeroko zakrojonych czynności rozpoznawczych prowadzonych przez dzielnicowych, milicianów i pracowników służby kryminalnej. Czynności te wykonują oni w ramach swych obowiązków.

Dane dotyczące ujawnionych osób nie pracujących, są wpisywane do specjalnych ankiet i następnie kierowane do komisji społecznej, działającej przy Wydziale Zatrudnienia PRN m. Łodzi. W skład komisji wchodzi przedstawiciel: Komitetów Dzielnicowych PZPR, Prezydium Dzielnicowych Rad Narodowych, Sądów i Prokuratorat Powiatowych dla poszczególnych dzielnic, Wydziału Zatrudnienia PRN, Milicji Obywatelskiej. Udział tych osób w pracach komisji zapewnia jej właściwą powagę i aurytetyt.

Praca komisji polega na wnikliwych rozmowach z osobami nie pracującymi, w celu nakłonienia ich do podjęcia stałej pracy, a tym samym uniemożliwienia sytuacji, w której mogliby oni podejmować przestępcze

działanie. Treścią podejmowanych przedsięwzięć jest ukształtowanie społecznie pożądanego postawy a zwłaszcza właściwego stosunku do pracy i wdrożenia do przestrzegania zasad współżycia społecznego.

Kilkumiesięczna współpraca Milicji Obywatelskiej z komisją społeczną w znacznym stopniu wzmożyła pozytywne oddziaływanie na element podejrzany nigdzie dotychczas nie pracujący. Dotychczasowe wyniki pracy komisji społecznej w okresie od 1 lipca 1966 r. do 30 kwietnia 1967 r. przedstawiają się następująco:

- ogółem ujawniono 1.893 osoby nie pracujące, z czego:
- 1.317 osób wezwano przed komisję społeczną,
- w wyniku przeprowadzonych z nimi rozmów, pracę podjęły 1.003 osoby, z tego:
- aktualnie pracują 964 osoby.

W stosunku do tych osób, które przyjęły skierowania do pracy, a z różnych przyczyn jej nie podjęły, czyni się w dalszym ciągu starania o ich zatrudnienie. Większość bowiem nie mogła przystąpić do pracy z powodu braku dowodów osobistych, niedopełnienia formalności w poprzednim miejscu pracy, bądź też ze względów zdrowotnych, rodzinnych czy też niedogodnych warunków oferowanego zajęcia.

Opierając się na przytoczonych wyżej danych, należy stwierdzić, iż realizowane przedsięwzięcia przynoszą pożądany skutek, co wyraża się podjęciem pracy przez ponad 73 proc. kierowanych do niej osób. Na uwagę zasługuje fakt, że w odniesieniu do tych osób, z wyjątkiem kilku przypadków, kartoteki MO nie notowały powrotu do przestępstw.

Dalsza praca komisji społecznej, indywidualne rozmowy i bezpośrednio kierowanie do zakładów pracy osób nie pracujących, w celu ich zatrudnienia, rokują nadzieje na lepsze zabezpieczenie terenu przed podejrzaną działalnością tego elementu, który dotychczas pozostawał na marginesie życia społecznego. Tym bardziej, że Służba Kryminalna Komendy Miejskiej MO w Łodzi, dysponuje danymi, dotyczącymi dalszych 1.470 osób, które nadal pozostają bez pracy, a część z nich dotychczas złośliwie uchyla się od jej podjęcia. Natomiast z danych Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi wynika, że na przykład na dzień 2 maja 1967 r. Wydział Zatrudnienia dysponował 3.773 wolnymi miejscami pracy, w tym 2.703 dla mężczyzn i 1.070 dla kobiet.

Na podkreślenie zasługuje fakt, iż tak istotny z punktu widzenia bezpieczeństwa i porządku publicznego problem osób nie pracujących jest rozwiązywany przy zaangażowaniu władz politycznych, państwowych, Prokuratury, Sądu i Milicji. Wytworzenie klimatu społecznego potępienia osób uchylających się od pracy podnosi skuteczność naszych wspólnych działań.

DALSZE ZAMIERZENIA

Naszym głównym zadaniem w pracy z młodzieżą trudną w roku 1967 jest rozwinięcie wszelkich możliwych inicjatyw w dziedzinie profilaktyki, dalsze zacieśnianie wspólne działania z instytucjami i organizacjami, zajmującymi się sprawami młodzieży.

Z władzami oświatowymi podejmujemy współpracę głównie w zakresie rozszerzania opieki nad młodzieżą zaniedbaną wychowawczo. Chcemy podjąć wspólnie czynności profilaktyczno-kontrolne w miejscach publicznych i inne przedsięwzięcia, zmierzające do ograniczenia liczby włamań i kradzieży w obiektach szkolnych, kontynuować pogadanki z rodzicami i młodzieżą itp.

W porozumieniu z właściwymi władzami oświatowymi i organizacjami młodzieżowymi, będziemy kontynuować akcję kierowania młodzieży nie uczącej się i nie pracującej do OHP i na kursy przygotowujące do zawodu, oraz w indywidualnych przypadkach — do szkół zawodowych.

Zamierzamy udoskonalać wymianę informacji i spostrzeżeń z Sędem dla Nieletnich na temat zachowania się, trybu życia nieletnich będących pod opieką sądu, środków wychowawczych stosowanych przez ten sąd za przestępstwa kryminalne, problemów związanych z umieszczeniem nieletniego w zakładzie wychowawczym lub poprawczym itp.

Planujemy dalszą rozbudowę grup pedagogicznych ORMO ze szczególnym uwzględnieniem udziału w nich nauczycieli i studentów. Będziemy rozwijać różnorodny formy działalności wychowawczej, prowadzonej przez posterunki blokowe ORMO, propagować sprawowanie przez ormowskich kurateli nad dziećmi zaniedbanymi. Społeczna Komenda ORMO zobowiązała się podwoić w 1967 r. liczbę nauczycieli w szeregach grup pedagogicznych ORMO.

Przewidujemy kontynuowanie prac o charakterze badawczym. Zamierzamy m. in. opracować zagadnienia, dotyczące stopnia resocjalizacji nieletnich, którzy w roku 1961 przebywali w milicyjnej Izbie Dziecka.

PKL MGR HENRYK PIOTROWSKI

być interesująca. Potraktowana serio i w dodatku opatrzona w programie „społecznym” komentarzem budzi efekty niezamierzone: nudzi (bardzo) i śmieszy (trochę).”

O Wikaciego „Sonacie Belzebuba”.

„Trudno też oprzeć się wrażeniu, iż debiutujący w teatrze reżyser młodych form filmowych, Stanisław Kokesz, nie bardzo potrafił sobie poradzić z „sataniczną” „Sonatą”. Według autorki jedynie Hanna Be drzyńska „uderzyła w właściwy ton: wyrzekła się farys na korzyść delikatnie zaznaczonych akcentów paradii”.

Na koniec z pochwałą spotkał się „Pies ogródniaka”, no ale to sztuka z wielką przeszłością, nie na

stręczająca problemów in-scenizacyjnych.

Wróćmy jeszcze do Festiwalu Poezji, któremu „Odgłosy” poświęciły dużo miejsca. (Szkoda, że łódzka TV nadal jest obojętna względem wydarzeń kulturalnych). Pomocze to wyciągnięciu praktycznych wniosków na przyszłość. Poeta Zbigniew Jerzyński po krótko relacjonuje w „Kul turze” swoje wrażenia, na dając im wymowny tytuł: „W Łodzi było gorąco...”.

Jerzyński: Byłem na wielu imprezach tego typu, ale muszę przyznać, że po interesujących festiwalach poznawczych (na Wiosnach Kłobuckich nie byłem) — impreza łódzka odbyła się w klimacie ostrej, istotnych sporów. Dyskusja

nad referatami była gorąca i szczerą. W głębi sali obrad widniało norwidowe motto: „Jest pewna propozycja, nitylarność, która jest warunkiem piękna”. I w duchu tego motto toczyły się obrady.

Od siebie dodajmy: na sali brakowało nam uczestników nie związanych profesjonalnie z poezją. Mamy na myśli jej odbiorców, i o nich w przyszłości powinno się zadbać!

CHULIGANSTWO (c.d.)

Przytaczaliśmy na tym miejscu zdecydowany i niecierpliwym głos Michała Radgowskiego z „Po lityki”. Jego wypowiedź wywołała listy czyteln-

ków tygodnika. Oto jeden z nich:

Całkowicie zgadzam się z M. Radgowskim (POLITYKA 22) co do metod walki z chuliganstwem. Wszelkie tak zwane pedagogiczne środki niewiele mogą wskazać w takich przypadkach.

Przebywałem pewien czas służbowo w jednym z krajów socjalistycznych (Rumunia), który przed wojną słynął z dużej ilości przestępstw. Obecnie można iść o godz. 2 w nocy przez jakikolwiek park i nikt nie zaczepi z propozycją sprzedaży — kupa. Cała armia byłych melów została poddana takiej musztrze, że młodzież, która teraz chciałaby iść w jej ślady, odechciała się sławy „Pelka Gwał

cieciela” albo „Staszkapirata”.

Ano właśnie! Dużo dawniej, pisano o wymianie doświadczeń między krajami socjalistycznymi. Mo że więc odpowiednio czynnik wysłał ludzi kompetentnych do Rumunii, by na miejscu się zorientowali, by naszym czynnikiem i nam te sprawy dokładnie przedstawił.

DELEGACJA SŁUŻBOWA

Delegacje służbowe to tak znamienny i typowy element naszego życia, że z nich czerpią natchnienie felietonistów, dramaturdzy („Czarowna noc” Mroźka), publicyści. To coś jak salon w życiu mieszczaństwa, wyjazd do wód przed pierwszą wojną światową,

kasyno gry u ziemian. Jeszcze jeden przyczynę do tematu podał „Polityka” w swojej doskonałej rubryczce „Coś z życia”. Szlakiem męża wyruszyła w podróż mieszkanka Kielec peregrynując do hotelu do Rumunii. By na miejscu się zorientować, by naszym czynnikiem i nam te sprawy dokładnie przedstawił.

JAN OLECHNO

W Tallinnie i Rydze

Niektórzy z zagranicznych uczestników moskiewskiego Zjazdu Pisarzy wybrali podróż na południe: do Baku i Jałty. Ja zdecydowałem się na północ — do Tallinna i Rygi. Już dawno, bo przed wojną, marzyłem o tym, by móc odwiedzić stolice krajów nadbałtyckich, ale — jak to w życiu bywa — plany swoje mogłem urzeczywistnić dopiero obecnie, w 1967 roku. Długo bo długo, jednakże „za długie czekanie, dobre dostanie”. Do Tallinna trzeba jechać przez Leningrad, więc skorzystałem z okazji i zatrzymałem się na dwa dni w tym pięknym mieście. Byłem tu tak niedawno, w marcu bieżącego roku, ale wtedy padały śniegi i deszcze i Leningrad nie mógł pokazać się w całej swej krasie. Co innego teraz — w wiosennym majowym słońcu. Tak, to piękne miasto. Tym razem nie wiedziałem słynnych miejsc historycznych. Tym razem chodzić po ulicach i placach, i utwierdzam się w przekonaniu, że Leningrad może podbić urodę każdego przybysza z zagranicy. Mieszkający tu stale, zakochani w swoim mieście, pisarz, Aleksander Rozen, oprowadza mnie po Leningradzie Dostojewskiego: oglądamy kamienice, w których mogli mieszkać bohaterowie jego powieści, ulice, po których chodzili, podwórka, rzekę Fontankę. Wybrałem się również do Szlisselburga (obecnie Pietrokriepost'), położonego u wybrzeży Nowy z jeziora Ładoża. Z dawnej twierdzy szlisselburskiej na wyspie, która notabene nazywa się „Oreszek” (widocznie trudny to był orzeszek do zgryzienia), pozostały szczątki. Nie ma cell, w której więziony był Łukasziński i cell, w której zmarł Waryński. To, co ocalało, zamieniono na muzeum, odwiedzane często przez grupy młodzieży i dorosłych. Na specjalnych tablicach portrety więźniów politycznych i krótkie ich biografie. Jakas mała dziewczynka, stojąca przed tablicą Waleriana Łukaszińskiego, nie może odczytać jego nazwiska. Pomógł jej ojciec, przeczytał: że był to polski patriota, zasądzony na 46 lat katorgi, z czego 37 lat przesiedział tutaj. Przeczytała i milczała. Bo cóż można, po przeczytaniu takiej informacji, powiedzieć, można tylko milczeć.

TALLINN

Dawniej Tallinn nazywał się Rewel. Dawniej wszystko nazywało się inaczej. Dzisiejsze Tartu to niegdysiejszy Dorpat, gdzie studiowało wielu wybitnych Polaków. Ale w Tartu nie byłem, nie ułożyło się, przejeżdżałem jedynie tamtędy w drodze do Rygi. Tallinn, stolica miliona Estonii, jest miastem małym (300 tysięcy mieszkańców), ale ładnie położonym, cichym i spokojnym. Tu się pewnie dobrze mieszka i dobrze pracuje. Prezes estońskiego Związku Pisarzy, Juhan Smuul, który się mną opiekuje, nie przeprowadziłby się stąd do nikąd. Nie dziwię mu się. Ma wille z ogrodem, wdzięcznie urządzone, z kominkiem na długie zimowe wieczory i dostępną ilość łąk. Juhan Smuul, którego poznałem na zjeździe w Moskwie, nie jest pisarzem w Polsce nieznanym. Przed dwoma laty, nakładem PIW-u w Warszawie, ukazało się jego „Morze japońskie” w dobrym przekładzie Ireny Piotrowskiej. Nie jest to powieść. To coś pośredniego między prozą beletrystyczną a esejystką, rozważania o ludziach i morzu, opisy pejzażu, pracy i wydarzeń historycznych. Smuul, były marynarz i uczestnik wojny ojczyźnianej; pisarz stosunkowo młody (ur. 1922) jest uosobieniem życia i energii. Jest duszą kulturalnego Tallinna. Widzieliśmy film „Dzienna pora”, do którego scenariusz napisał Smuul, byliśmy na operze „Brzeg burzy” (osnutej na tle starożytnych legend bałtyckich) z librettem Smuula, a gdy zawiódł nas do gospodarstwa rybnego nad Zatoką Fińską, okazało się, że wszyscy go tam znają jako pisarza i działacza. Gwoli ścisłości należy dodać, że i żona jego, Debora Waarandi, należy do grupy utalentowanych i znanych poetów estońskich. W Tallinnie, podobnie jak w Leningradzie, nastąpił już okres białych noc. Dziwno to zjawisko dla przybysza z Polski. O godzinie jedenastej wieczorem widno jak w dzień, można siedzieć w parku i czytać gazetę, wydaje się, że dopiero przed chwilą zaszło słońce gdzieś za horyzontem, o północy szary zmierzch, a o drugiej — już jasno. I w Leningradzie i w Tallinnie przypominał mi się wciąż Dostojewski, w którego powieściach pejzaż białych noc gra tak nieposłednią rolę.

Po gwarnej Moskwie i niemniej ruchliwym Leningradzie, tutaj, w stolicy Estonii, mogłem naprawdę odpocząć. Nie gonilem na obrady,

nie miałem przeładowanego programu spotkań i rozmów, postępowalem jak niespieszny przechodzień, który na wszystko ma czas i wszystkiemu może przyjrzeć się dokładnie. Oczywiście spotykałem się i tutaj z ludźmi, głównie z pisarzami, ale odbywało się to w atmosferze spokoju, powiedziałbym: w atmosferze powolnej i niczym nie pognanej. Pamiętam rozmowę z tłumaczem literatury polskiej, Olev'em Jogi, zresztą nie mówiącym po polsku. Nierazki to przypadek tłumacza, który czyta, rozumie i przekłada, ale nie mówi w danym języku. Jogi nauczył się po polsku sam, czytając nasze gazety, co również nie należy do rzadkości. W Moskwie poznałem młodego przekładowcę poezji polskiej (podobno przekładowcę bardzo uzdolnionego), który nauczył się polskiego języka, czytając „Przekrój” oraz inne nasze czasopisma i gazety.

Olev Jogi skarży się, że polscy pisarze, przyjeżdżający do ZSRR, rzadko na ogół odwiedzają Tallinn. Nie on jeden zresztą czynił nam tego rodzaju wyrzuty. Maksym Tank również wyrażał swoje ubolewanie, że tak mało pisarzy polskich przyjeżdża do Mińska i w ogóle na Białoruś. Olev Jogi pamięta do dziś wizytę w Tallinnie Bohdana Drozdowskiego. „Bo, wie pan — mówi — jeśli ktoś rzadko przyjeżdża, to się go bardzo długo pamięta. Ma to więc i dobre strony. Ale żarty na bok. Kontakty między nami są za słabe i nazbyt doraźne”.

Wszystko to prawda, nikt nie zaprzeczy. Ale i mnie, który specjalnie przyjechał do Tallinna, nie udało się skontaktować z Aleksandrem Kurtną, jednym z najświetniejszych tłumaczy literatury polskiej na estoński. Może sam sobie jestem winien, bo Kurtna mieszka w Tartu, a ja do Tartu nie pojechałem. Ano trudno, trzeba poczekać na nową okazję, która się nadarzy w przyszłości. W Tallinnie, położonym nad Bałtykiem, wśród parków i ogrodów, wśród lasów sosnowych, pachnie Polską. Może dlatego wybrałem się tutaj, że stąd już całkiem niedaleko do własnego kraju.

RYGA

Niechybnie zabrzmi to paradoksalnie, gdy powiem, że Tallinn nie jest miastem. To znaczy jest miastem, ale swoim wyglądem i położeniem nie przypomina miast typowych, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Tallinn jest rozrzucony i jakby bezładny, nie posiada city, zmasowanych bloków i gestej sieci ulic. Bardziej park, niż miasto. Ryga natomiast, zbudowana w sposób zwarty, zaspokaja w pełni nasze (może tylko moje) wyobrażenia o dużym mieście. Naturalnie stolica Łotwy, republiki liczącej dwa i pół miliona mieszkańców, jest dwukrotnie większa od Tallinna, posiada siedem wyższych uczelni i znakomicie rozwinięty przemysł radiotechniczny. No i ta piękna rzeka Dźwina! Stąd jeszcze bliżej do historii i związków łotewsko-polskich. Nie wszystko w tej historii było dobre, ale też i nie wszystko zasługuje na ocenę ujemną. Pomyśleć tylko: do dziś w południowej części Łotwy mieszkają Polacy. Tłumacz z literatury polskiej (nawiasem mówiąc także z pasywną znajomością naszego języka) nazywa się Juzup Łaganowski, a lubiana przez łotewskich czytelników poetka młodego pokolenia — Olga Lisowska, pochodzi z rodziny polskiej. Powiedziała w rozmowie ze mną, że dziadek był Polakiem, uczestnikiem powstania w 1863 roku.

Zarówno w Tallinnie jak i w Rydze dopisała nam pogoda. Było ciepło i słonecznie, jak rzadko nawet o tej porze roku. Obejrzałem nie tylko Rygę, stara i nowa, pojechałem również w towarzystwie niezadowolonego Wiktora Borisowa i miej-

scowego krytyka filmowego (niestety, nie zapamiętałem sobie jego nazwiska) na wybrzeże Bałtyku, ostoję lasami sosnowymi, z piękną, niezaludnioną jeszcze plażą. Jedliśmy przywiezione ze sobą wędkowne ryby, piiliśmy łagodne wino i rozmawialiśmy. Ach, te rozmowy! Długie, nie kończące się rozmowy o literaturze, o tym, co u was i co u nas, aż do umeczenia. Ludzie, którzy spotykają się po raz pierwszy i na krótko, mogą mieć i dużo i mało do powiedzenia. Pisarze mają wiele do mówienia, bo pisarz to człowiek ciekawy ludzi i świata. Nie omija żadnej sposobności, by wzbogacić swoją wiedzę o życiu. A coś dopiero, jeżeli znajdzie się za granicą, w gronie obcych pisarzy, tak samo jak on ciekawych innych ludzi i innych kultur. Niestety, i tu, w Rydze, nie zastałem człowieka, z którym bardzo pragnąłem się zobaczyć. Lotewski tłumacz „Pana Tadeusza”, Simonis, którego poznałem przed kilkoma laty w Warszawie, wyjechał na wieść do chorej matki. A ja będę w Rydze tylko parę dni! Nieobecność Simonisa wynagradzam sobie chodzeniem po antykwariatach. Bardzo lubię antykwariaty, owe poszukiwania, które tyle kryją w sobie niespodzianek. Szukasz określonego tytułu, a natrafisz nieoczekiwane na coś innego, lecz równie ważnego i cennego, a może nawet cenniejszego, niż rzecz przez ciebie poszukiwana. Ryskie antykwariaty dysponują dużą ilością książek w języku niemieckim. Dowód to, że wpływy kultury niemieckiej były tu kiedyś spore, większe, niż w Estonii, i jeszcze coś z tego pozostało. Zresztą i w księgarni współczesnej z wydawnictwami obojęzycznymi, więcej książek niemieckich, niż — na przykład — polskich. Ale to chyba dowodzi, że Niemcy z NRD są po prostu lepszymi w tym względzie propagatorami, niż my. Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym wyrzekał na nieobecność „policjantów”. Są tu także książki polskie, stare i nowe, w oryginalnej i przekładach, a zainteresowanie literaturą polską nie maleje. Myślę nawet, że wprost przeciwnie.

W pięknym soborze (wspaniałe witraże i ogromne organy), przemienionym na muzeum, gdzie odbywają się koncerty organowe, gościł wielokrotnie koncertmistrz polscy, w ich liczbie profesor Bronisław Rutkowski. Zresztą i historia soboru, który — jak głosi opis — był kiedyś twierdzą „agresywnego katolicyzmu”, zawiera związki z Polską, związki dobre i niedobre, jak w historii każdego kraju i narodu.

Ostatni wieczór ryski spędziłem w domu pisarza rosyjskiego, Michała Zadornowa. Zadornow mieszkał niedługo w Chabarowsku, gdyż od dawna tematem jego książek są ludzie i sprawy Dalekiego Wschodu. Po roku 1945 postanowił osiedzić się gdzie indziej i na nowa siedzibę obrał Rygę. Ale nie zerwał kontaktów z Dalekim Wschodem. Jeździ tam rokrocznie, by zbierać materiały do nowych książek, któreś lata spotkał w Chabarowsku naszego łodzianina, Konrada Frejdliha, Mieszkaniec Zadornowa, urządzone ładnie i ze smakiem, stanowiło w końcucej fazie mej podróży, prawdziwą oazę spokoju. Siedzieliśmy przy herbacie i ciastkach, Zadornow, jak każdy prawie pisarz rosyjski, umie opowiadać, więc rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Potem Zadornow odprowadził mnie do hotelu „Ryga”. Szliśmy nad brzegiem Dźwiny, która płynie powoli, leniwie, nadbrzeżne światła odbijała się w wodzie, miasto śpi, a dwaj pisarze mówią o swoich krajach i swoich planach twórczych. Widzą się ci pisarze po raz pierwszy, ale może nie po raz ostatni. Sa chwile, kiedy człowiek skłonny jest wierzyć, że życie jest piękne. To była właśnie taka chwila.

Kulisy konfliktu na Bliskim Wschodzie

W cieniu — nafta

Nim Drake odkrył złoża ropy w Pensylwanii i wywiercił pierwszy szyb — głęboki na 21 metrów — przemysłni Chińczycy, bagatela — dwa tysiące lat wcześniej — drążyli w Seczuanie i prowincji Szensi naftowe „studnie” do 1000 metrów; ropa i towarzyszący jej gaz ziemny doprowadzane bambusowymi rurkami oświetlały mieszkania chińskiej arystokracji. Około 1250 roku Marcus Graecus mówi o sposobie palenia wojsk przy pomocy płynnego ognia — protoplasty napalmu i miotaczy płomieni. Słowo „naft” lub „naft” znane było w Babilonii, używane przez ludy semickie dla określenia ropy naftowej.

Tak było wczoraj... A dziś? Nafta zrodziła i robi wciąż wielką oszałamiającą karierę. W roku 1870 wydobyto na całym świecie 772 tys. ton ropy. Ale to był zaledwie marne początek. Bo:

rok 1900	— 19,5 miliona ton;
rok 1950	— 523,6 miliona ton;
rok 1965	— 1.510 milionów ton.

Krzywa gorączki pnie się dalej, nowoczesny świat — jego technika, gospodarka, cywilizacja i POLITYKA — potrzebują ropy naftowej, tak jak spragniony człowiek — wody.

Coraz większy zastęp zwolenników zaczyna sobie zdawać sprawę, że ropy naftowa jest bogactwem o fundamentalnym znaczeniu, szczególnie dla dalszego rozwoju gospodarki światowej. Stała się ona już głównym źródłem energii w wielu krajach, głównym — najtańszym i najwygodniejszym w transporcie oraz eksploatacji.

Wyciżmy. Przez przetwarzanie paliw — ropy i węgla — uzyskuje się aktualnie w całym świecie około 96 proc. energii, ale już dziś prymat ma ropa — ponad 50 proc. udziału. Ropa niezwykłe szybko awansuje, wysuwając się przed tradycyjny do niedawna surowiec — węgiel; gdy w roku 1938 każdej tonie ropy odpowiadały 4,5 tony węgla, dziś — już tylko 1,5 tony.

Ropa naftowa to przede wszystkim chemia i to przez duże „CH”. Jeszcze w roku 1935, w Stanach Zjednoczonych, cała produkcja zakładów chemicznych opierała się na przetwarzaniu węgla, drewna oraz niektórych produktów rolnictwa. W roku 1947 już piątą część przetwarzanych w przemyśle chemicznym surowców stanowiła ropa naftowa oraz gaz ziemny.

Ropa naftowa to: alkohol etylowy, nawozy azotowe, kauczuk syntetyczny, włókna sztuczne tworzywa chemiczne, rozpuszczalniki farb i lakierów, detergenty, lekarstwa, perfumy, paliwo i tysiące nieodgadnionych jeszcze przez człowieka produktów o setkach tysięcy możliwych przeznaczeń.

To jest ropa. Bogactwo świata. I — krew świata.

DRUGIE OBLCZCE

Mister Helford L. Hopkins — były doradca Departamentu Stanu USA jest niezwykle szczery. Napisał: „Reprezentujemy kulturę naftową. Nafta w świecie współczesnym oznacza być albo nie być, oznacza siłę... Nafta, jako główny nerw wojny posiada znaczenie, które nie da się ocenić zwykłą miarką...”

Tyle mister H. L. Hopkins — USA. A oto jeszcze jedna opinia o znaczeniu tego surowca tym razem wyrażona przez francuskiego ekonomistę, Henri Borengera: „Ten kto posiada naftę, będzie posiadał i panował na morzu przy pomocy olejów ciężkich, w powietrzu przy pomocy benzyny, a na ziemi poprzez dysponowanie gazoliną i naftą oświetleniową. Będzie mógł kierować swoimi bliźnimi, całymi krajami i państwami pod względem gospodarczym z tego tylko powodu, że będzie miał w swoim reku fantastyczne bogactwo które wyciągnie z nafty — cudownej substancji, bardziej poszu-

kiwanej i bardziej cenionej niż złoto”.

Świat współczesny nieustannie woła o benzynę i naftę. Gardła wielkiego przemysłu nieustannie wołają o nowe gąłony i beczułki „płynnego złota”. Wielki kryzys węgla jest m. in. wynikiem gwałtownego przechodzenia przemysłu na paliwo opierające się na ropie naftowej i jej pochodnych. W roku 1956 produkcja ropy naftowej na świecie wyniosła 840,8 miliona ton. W roku 1960 ten sam wskaźnik przekroczył już miliard ton i był cztery razy większy aniżeli przewidywały prognozy z lat trzydziestych. Ekonomiści i specjaliści twierdzą, że lata osiemdziesiąte naszego wieku przyniosą dalsze podwojenie zużycia ropy naftowej. Rok 1961 zamknął się bilansem wydobycia 1.119 mln ton ropy naftowej na całym świecie.

Świat nie może się już obejść bez ropy naftowej. Polityka jest ściśle związana z tym co mieni się „płynnym złotem”.

Przed pół i więcej wiekiem, nafta zaledwie oświetlała wąłyłym ognikiem świat, dziś porusza wielką maszynę przemysłu i techniki, maszynę wojny. Zresztą — już wcześniej pokazała czym jest, czym może być: armia taksówek, które uratowały Paryż od pruskiej furii, czolgi pierwsze samoloty lata 1914—1917, łodzie podwodne i ciężarówki transportów wojskowych — wszystko to było karmione benzyną.

Jest karmione benzyną. Walka trwa. O sferę wpływów, bazy, krew, złoto, interesy, o ROPE.

Podobno — jak twierdzą cynicznie — każda kropla nafty warta jest kropli krwi. Przymyślnym Berengera: „Ten kto posiada naftę będzie panował...” Kto walczy o to panowanie, kto posiada lub chce posiadać, jeszcze więcej posiadać, by móc rozszerzyć swoje czy też ich władztwo? Kto stoi w cieniu, a kto walczy? W czym imieniu i o co?

MAFIA

„SHELL”, „GULF”, „STANDARD OIL” — naciarska amerykańsko — angielsko — francuska spółka.

„Siedem sióstr” — tak mówią wtajemniczeni, bliscy.

Siedem sióstr. To właśnie one przez dziesiątki lat trzymają w swoich zachłannych rękach niemal całe naftowe bogactwo zachodniego świata. Fachowcy obliczają, że blisko 94 proc. wydobycia światowego nafty w świecie kapitalistycznym, kontrolowane jest przez te właśnie koncerny naftowe wchodzące w skład „siódemki”.

„Siedem sióstr” — a mianowicie przez British Petroleum, Shell, Standard of New Jersey, Standard of Indiana, Gulf, Standard of California, The Texas Co. Ten potężny kartel kontroluje nie tylko ponad 90 proc. wydobycia ropy naftowej świata kapitalistycznego, ale również grupuje w swoim reku blisko 100 proc. całego eksportu nafty i przetworów naftowych zachodniego świata. W swoim reku posiada znakomicie zorganizowaną sieć rafinerii i przedsiębiorstw przetwórczych, „siedem sióstr” dysponuje potężną flotyllą tankowców, a specjaliści obliczają, że niemal 60 proc. światowego tonażu statków mogących przewozić ropę naftową należy właśnie do naciarskiej mafii. Do tego dochodzi jeszcze bogactwo w postaci bezwzględnej monopolu w dziedzinie rurociągów naftowych i niemal wszystkie nitki, przez które płynie ropa naftowa — poza oczywiście terenami Związku Radzieckiego i krajami obozu socjalistycznego — należą do „siedmiu sióstr”.

„Siedem sióstr” grupuje w swoim reku nie tylko bogactwo. „Siedem sióstr” dyktuje również warunki polityczne, tworzy i obala trony, organizuje przewroty.

Stanowi siłę zachłanną, eksploatacyjną siłę świata zachodniego, a ministerstwa spraw zagranicznych pieczołowicie dbają o jej interesy. W czasie kryzysu sueskiego w roku 1956 rządy skwapliwie przekazywały swe pełnomocnictwa owym koncernom z Manhattanu, San Francisco, Londynu i Hagi, potwierdzając otwarcie kontrolę sprawowaną przez nie — pisze Harvey O'Connor w swojej książce „Zmierzch naftowego imperium”.

Takim właśnie bogactwem dysponuje rodzina „Siedmiu sióstr” za którymi w istocie stoją Rofszylidowie, Rockefellerowie, Deterdingowie i inni.



Sport i miliony

W numerze 22 naszego pisma dokonaliśmy bilansu funduszu Tota Lotka, uzyskanego w przeciągu 10 lat na terenie woj. łódzkiego.

Z obliczeń i opartych o nie wywodów wynika, że przy centralnym podziale kwot przeznaczonych na inwestycje i remonty urządzeń sportowych, nie jest brana pod uwagę wysokość wpływów z danego województwa. „Gdzie zgubiliśmy 137 milionów?” — Tyle bowiem straciliśmy przy centralnym podziale funduszu Totalizatora.

Kto zna fakty — nie błądzi. Szukajmy więc faktów. Jak wygląda stan posiadania przez województwo łódzkie urządzeń sportowych?

Nasz nieoceniony Główny Urząd Statystyczny dopiero od ubiegłego roku zajmuje się urzędzeniami sportowymi i dysponuje jedynie danymi dotyczącymi ilościowego stanu obiektów sportowych. W poszukiwaniu pozostałych danych zwróciliśmy się do Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. Okazało się, że GKKF posiada bardzo dokładne wyliczenia z zakresu inwestycji, remontów itp. spraw budżetowych oraz ilościowego stanu urządzeń sportowych. Dysponuje też odpowiednimi wskaźnikami (powierzchnia stadionów i boisk w hektarach ilość m kw. sal lub hal gimnastycznych przypadająca na 1000 mieszkańców, ilość m kw. łustra wody w basenach przypadająca na 1 mieszkańca), ale odnoszą się one do stanu z... 1 czerwca 1959 r. I tu nasuwa się pierwsza, lecz nader zasadnicza wątpliwość. GKKF jest instytucją, w której dokonuje się centralnie podziału funduszu przeznaczanego na urządzenia sportowe właśnie tutaj powinny znajdować się wskaźniki aktualne. Tylko one dają bowiem dokładne rozeznanie w sytuacji.

Nie jest to jedyna niespodzianka czekająca nas przy penetracji tego zagadnienia. Jakkolwiek zdajemy sobie sprawę że nie jest najlepiej w Łodzi i województwie z urządzeniami sportowymi, dopiero cyfry pokazują, jak dalece jesteśmy unośledzeni. W 1959 roku Łódź posiadała zaledwie 15 stadionów i boisk (0,84 m kw. na 1 mieszkańca), 1 mieszczący basenu krytego, i 3 otwarte (0,005 m kw. na 1 mieszkańca). Województwo łódzkie posiadało w tym czasie 97 stadionów i boisk (1,26 m kw. na 1 mk.), 1 basen kryty (0,001 m kw. na 1 mk.) i 5 otwartych (0,004 m kw. na 1 mk.). Dla porównania: woj. opolskie miało wówczas wskaźnik 5,51 m kw. na 1 mk. w boiskach i stadionach, woj. wrocławskie 0,093 m kw. na 1 mk. w basenach otwartych, m. Warszawa 0,001 m kw. na 1 mk. w basenach krytych (siedem takich basenów w mieście). Łódź i woj. łódzkie zajmowały zawsze jedno z ostatnich miejsc w kraju pod względem wyposażenia we wszystkie rodzaje urządzeń sportowych. Od owego 1959 roku przybyła nam tylko jedna hala gimnastyczna, jedna pływalnia kryta i trzy pływalnie szlacheckie otwarte. A ludzi nie ubyłoby przecie. Nie może więc być mowy o poprawie sytuacji. Najbliższa przyszłość też nie wygląda różowo. Do 1970 roku przewiduje się z wiekszymi inwestycjami jedynie budowę sztucznego lodowiska w Zgierzu, rozbudowę sali gimnastycznej „Piotrowi” oraz budowę stadionu i otwartego basenu pływackiego w Piotrkowie Tryb. Reszta — to drobne inwestycje, remonty kapitalne, zakup sprzętu sportowego oraz modernizacja i konserwacja.

A jak wygląda to samo od strony finansowej? Przyjmijmy znowu jako granicę wyjściową ów opracowany z należytą dokładnością rok 1959. Łódź — cierpiąca wraz z województwem karygodny niedostatek w wyposażeniu w urządzenia sportowe, plasująca się pod tym względem w ostatnich miejscach w skali krajowej obok województw: białostockiego, kieleckiego i rzęsowskiego; robotnicza Łódź, potrzebująca tak bardzo przy swych minimalnych możliwościach turystycznych odpowiednich obiektów sportowych niezbędnych dla regeneracji sił i samopoczucia mieszkańców otrzymała w latach 1960—1965 zaledwie 159 milionów złotych z funduszu Totalizatora i 46,5 miliona zł z funduszy własnych na urządzenia sportowe, podczas gdy np. Warszawa znajdującą się w bez porównania lepszej sytuacji dostała w tym samym okresie 244 miliony zł z funduszu Totalizatora, a z własnej kieszeni wyłożyła na sport 86 milionów. W latach 1967—1970 otrzymamy 108 milionów od Totalizatora, do których dolożymy sami zaledwie 15 milionów. Owe 108 milionów to suma należna z bieżących wpłat łódzkiego Tota — ergo z naszej kieszeni; ale suma ta w żadnym stopniu nie wyrównuje tego krzywdzącego manka tych 137 milionów, jakie bez uzasadnienia, przy milczącej postawie naszych władz sportowych — nazwijmy to tak — niedopłacono.

Warszawa dostanie niemal dwa razy więcej, bo 179 milionów zł od Totalizatora i 26,5 miliona ze środków własnych. Najlepiej wyposażone są w Polsce w urządzenia sportowe Ziemia Zachodnia. Pomimo to Wrocław z województwem otrzyma od Totalizatora przeszło 112 milionów. Rekord inwestycyjny pobije w tym okresie woj. katowickie — 220 milionów zł od Totalizatora, a samo też hojna ręką dołoży do nich z kieszeni własnej 261 milionów. Oto skala porównawcza: 220 i 261 milionów, 108 i 15 milionów! Tak Katowice mogą sobie pozwolić na gest — to okres bożego dzieci rozwiniętemu przemysłowi ciężkiemu, włókiennicza Łódź być może nie jest w stanie wyzyskać więcej na urządzeniach sportowych. Dlaczego jednak Totalizator jest tak niesprawiedliwy w swych przydziałach? Czy skończy się wreszcie deklaracja o deklomercacji i przestaniemy być Kopećkami wobec pobliskiej stolicy? W najbliższym czasie — jak wynika z danych i obliczeń — nie zanosi się na to. Lecz skoro już tak się dzieje (dla niewiadomych przyczyn), miemy przynajmniej te satysfakcje, że nie zastęgliliśmy w martwym, biernym milczeniu.

STUDENT

— istota nieznaną

SZANOWNA REDAKCJO!

Jestem jednym z szeregu, studenckiej braci. Nigdy nie wybrałem się w żadnej dziedzinie i nie jestem ani dobrym studentem, ani zbyt byskotliwym człowiekiem. Mimo to postanowiłem pod wpływem chwilowego impulsu zabrać głos w narzuconej przez redakcję „Odgłosów” polemice na temat (zresztą bardzo trafnie sformułowany), a noszący tytuł: „Student — istota nieznaną”. Nie czytuje dużo książek, nie chodzę zbyt często do teatru, nie jestem znawcą, ani literatury, ani publicystyki i być może nie powinienem pisać na podobne tematy, ale niestety, nie zawsze można się pogodzić ze zdaniem czynników nawet w jakiejś mierze przynajmniej predestynowanych do wygłaszania swoich często nawiasem mówiąc cierpkich, choć nie zawsze w pełni uzasadnionych sądów. Być może, że intelekt środowiska studenckiego stoi pod znakiem zapytania, ale nie byłbym zbyt pewnym tego nieco pochopnego stwierdzenia biorąc pod uwagę choćby fakt, że o ile dobrze pamiętam ok. 500 studentów wypełniło ankietę, a pozostałe kilka tysięcy (mówię o osiedlu Łumumby) nawet o niej nie wiedziało.

(...)Asystent na drugi dzień nie zapytał o teatr i literaturę, tylko o to, co było zadane z jakiejś grubej, a mądrej książki o zarbarwieniu na pewno specjalistycznym. I tu wyłania się sedno sprawy. Nikt, na wet ten kto jest oczytany, zarówno w czasopiśmie, jak i literaturze nie ma czasu, ani ochoty chwalić się (jak to niektórzy nazywają) swoimi wiadomościami. Mamy co prawda kiedyś stanowić czołówek społeczeństwa, ale przede wszystkim każdy z nas będzie większym lub mniejszym specjalistą w swojej dziedzinie, a o innych rzeczach pozostanie mu miłgście na ogół pojęcie, takie tylko, żeby w rozmowie na dowolny temat nie razić nikogo swoją zupełną ignorancją. Redakcja podjęła się bardzo trudnego zadania, zadania oceny naszego środowiska, a jest ono naprawdę skomplikowane, o wiele bardziej niż środowisko studentów, tzn. z miasta, a choć nie mam na to dowodów zapewnić mogę wszystkich, że po mimo tego, iż pochodzimy w większości z małych miast i miasteczek w wielu, a może i większości przypadków górujemy nad środowiskiem „miejskich studentów”.

Wspomniałem o tym, że środowisko nasze jest skomplikowane. To prawda, bo akademicki, to nie całosć, to wiele klanów o różnym poziomie i zaprzyntowaniach. Są tacy, którzy poza literaturą szkolną nie przeczytali innej książki, ale są i tacy, którzy czytają dużo i to czasem nawet w obcych językach, tacy, co chodzą na koncerty do filharmonii i tacy dla których największą przyjemnością jest wstąpić „na setkę” do Słonka czy Casanovy. A jednak wszyscy są studentami. I to fakt, że ci, którzy nie posiadają tego, co zwie się popular-



nie ogólna inteligencja, są b. często znacznie lepiej przygotowani do egzaminów. Ani ankietę, ani głosy w prasie nie zmieniają, bo przejdą obok nich niezauważone i ludzie ci zawsze będą posiadali tylko szkolne wiadomości humanistyczne. Ale czy takie jednostki wypełniające ankietę byle jak i byle przedzielną tylko z przyjaźnią dla kolegi z Rady Mieszkańców, który jest „w kłopotach” mają świadczyć o całym środowisku? Na pewno nie, bo jest wielu takich, którzy mają szersze zainteresowania. Ale tu z kolei — niestety — „Odgłosy” popełniają błąd, wymagając od studentów różnych kierunków nie związanych ze sobą, ani ze studiami humanistycznymi, naprawdę dogłębnej znajomości wszystkich niemal dziedzin kultury. Można być znawcą impresjonizmu, ale niekoniecznie znać wszystkie dzieła Morawill, czy nawet Remarquę, który jest przecież b. popularny i odwołany. Nazwiska i utwory, które wymienia się w artykule pocieają za sobą ogrom wiedzy i same w sobie są już szerokim kierunkiem do studiowania, a my przecież jesteśmy pochłonięci i swymi studiami i wieloma, a nawet przyziemnymi problemami dnia codziennego, więc kto, kto jest w stanie posiadać taki ogrom wiedzy?

A kwestia nowoczesności i argumentu dotyczącego szkoły średniej. Proszę mi wybaczyć, ale jest naprawdę niewygodnie, że nie jest atmosfera szlania mnie do tego, by być powściągliwym w przychylaniu się bez zastrzeżeń do wszystkiego co nowe. Jest w tym po prostu doza zdrowego rozsądku i nie więcej. Dla czego podobają mi się niektóre obrazy Picassa, dla czego rozumiem impresjonistów czy ekspresjonistów, a nie przemawiają do mnie podane na gruncie pseudonowoczesności obrazy składające się z kropek, kółek i drucików o których wzmianka w tytule, że to np. „Ewa w kąpiel”, albo „Wenus z planki”, dlaczego muzyka Szopena wprowadza mnie w podniosły nastrój, a śmiecha i denerwują mnie wrzaski Beatlesów, ye, ye, ye czy wręcz dsonansne muzyczne „Warszawskiej Jesieni”. Nowoczesność jest dźwiękiem, jest formą, ale musi mieć treść i formę, musi porządkować, inaczej przelotny inteligent, do których się zaliczam, nie strawi jej nigdy, nie zrozumie i nie będzie jej propagatorem czy choć by wyznawcą. Nowoczesność, to bardzo szerokie pojęcie i dotyczy wielu dziedzin życia, ale chodzi

Nasza nieznaną istota odezwała się! W odpowiedzi na opublikowany już materiał przysłał do redakcji dwa listy: jeden od studenta z Akademii Medycznej, drugi — z Uniwersytetu Łódzkiego. Publikując je, zachęcamy raz jeszcze wszystkich studentów; dajcie się poznać! Piszcie do nas, co sądzicie o poruszonej w tym cyklu problematyce. Czekamy na dalsze listy.

mi w tym wypadku o te najjaśniejsze, a jednocześnie zenujące swoją pływającą jej przejawy wśród ludzi uważających się za nowocześnie. Można by zarzycyć tu analogię takich przekonań z młodym chłopcem idącym po Piotrkowskiej z rozwrzeszczanym tranzystorem. Owszem, rzuca się on w oczy, ale czy ktoś go podziwia, czy wszadza choćby większe i dłuższe trwające zainteresowanie? Chyba nie, co najwyżej wśród takich jak on, a to naprawdę b. mało.

Nigdy przedtem nie zabierałem głosu w podobnych dyskusjach i być może moje argumenty nie są nimi w całym tego słowa znaczeniu. Napisałem jednak to, co doświadczyłem i sumienie (a jednak w myśl zasady starego Mickiewicza). Kończąc, przez siałam wyrazy szacunku.

Student A. M.

SZANOWNA REDAKCJO!

Świetnie się stało, że pani Ewa Siemińska poruszyła w „Odgłosach” problem, który jest, proszę mi wierzyć, bardzo żywym w środowisku studenckim. Badania ankietowe nasuwają przykry wniosek dotyczący poziomu intelektualnego moich kolegów, którzy przecież już teraz należą do inteligencji polskiej. W szkołach średnich w wielu z nas rozbudzone zainteresowania humanistyczne, ale dopiero okres studiów powinien wykazać, czy należy do kulturalnym świecie, ponieważ jest to czas, kiedy już nie nauczyciel, a my sami decydujemy o doborze lektury, sztuk teatralnych itp. I co się okazuje. Najczęściej za milowianą te są tłumione i przytłaczane ogromną ilością



cią spraw i problemów z jakimi młody człowiek do tej pory jeszcze nie zetknął się w swoim życiu. Proszę sobie wyobrazić, iż uczesząc do szkoły średniej potrafiłem odmówić sobie atrakcyjnej wykładki, ponieważ za wszelką cenę chciałem mieć w swojej niedużej bibliotece dzieła Balzaka i Prousta, nie opuścić żadnej premiery teatralnej, a obecnie będąc studentem Uniwersytetu Łódzkiego tylko raz w ciągu rocznego pobytu na tej uczelni sięgnąłem po książkę nie wchodzącą w skład litera-

tury fachowej. Chyba wszyscy przyznają, że taki stan rzeczy jest co najmniej przerażający i przykry, chociażby dla tych osób, które całą swą energię i serce poświęciły na kształtowanie naszych poglądów. Ale chyba największą tracę na tym ja sam, dla którego obcowanie z



każdą niemal dziedziną sztuk było prawie zawsze związane z silnymi przeżyciami emocjonalnymi. Praktycznie nie może więc być mowy o rozwoju intelektualnym, gdyż nie zawsze starze czasu na wkuwanie suchych formuł i wykresów. W takiej sytuacji lektura dodatkowa, czy ogólniej — sztuka, staje się po prostu luksusem, a wiadomo, że na luksus może pozwolić sobie tylko niewielka grupa. Z rozmowami z kolegami wyciągnęliśmy wnioski, że jest to zjawisko powszechne i każdy z nich parsknął na „tepoję intelektualną” — choćby, która spowodowana jest nawałem pracy i brakiem czasu. Prawde mówiąc, inaczej wyobrażałem sobie życie studenckie i prozę mi wierzyć, iż nie przemawia tutaj przeze mnie lenistwo, czy też wrodzona skłonność do na rzekną, ale zawiązana nadzieja, że do rozwinięcia swych zamiatowanych humanistycznych w okresie pomóż największych wlotów młodości. Z prostych wyliczeń wynika, że kultura i sztuka będą mogli się zająć, a i to nie wiadomo, dopiero za kilka lat, — kiedy być może, znacznie rosnąć mi brzuszek i widocznie się fatyka, post. budo. Gdyby zatem pani Siemińska przeprowadziła za kilka lat podobną ankietę wśród młodych magistrów pracujących w zakładach przemysłowych, tak oto odpowiedziałbym na zadane pytanie: Moim ulubionym prozikiem jest Sienkiewicz, ulubionym poetą Mickiewicz, według mnie najpiękniejszą małutką Matelką, w filmach — byłem raz, zaś ze sztuk teatralnych najbardziej wstrząsnęła mna wzmianka „My fair lady”. Jakkolwiek na naskie nigdy nie jest za późno, śmieśnie jest rozporozczenie edukacji dziedzin humanistycznych, kiedy zaczyna się prace zawodowa. Jak zatem wyobrazić sobie atrakcyjną wykładkę, ponieważ za wszelką cenę chciałem mieć w swojej niedużej bibliotece dzieła Balzaka i Prousta, nie opuścić żadnej premiery teatralnej, a obecnie będąc studentem Uniwersytetu Łódzkiego tylko raz w ciągu rocznego pobytu na tej uczelni sięgnąłem po książkę nie wchodzącą w skład litera-

KONRAD RADOWSKI
Student
Uniwersytetu Łódzkiego

Tutaj trzeba powiedzieć kilka słów o mechanizmie wyzysku stosowanego przez nafiarskie koncerny „Siedmiu siostr”. Umowy o wydobycie ropy naftowej, które podpisuje światowy koncern Rockefellerów i Rotszyldów opierają się zwykle o zasadę „fifty-fifty”.

Znaczący to, że dochody z wydobycia ropy naftowej są dzielone po połowie pomiędzy rządy krajów, na których terenie znajdują się złoża ropy naftowej i przedsiębiorstwa wydobywcze, a więc należące do mafii „Siedmiu siostr”.

Później ta zasada jest sprawiedliwa. Jednak w gruncie rzeczy „fifty-fifty” kryje w sobie pułapkę. Oto ceny, według których następuje podział dochodów pomiędzy rządy krajów dysponujących złożem, a towarzystwa eksploatacyjne, są ustalane w oparciu o stawki eksportowe obowiązujące aktualnie na przykład na Bliskim Wschodzie, a więc w rejonie, gdzie ze względu na wielkie bogactwo występowania ropy naftowej siła rzeczy są one niższe. Natomiast sam koncern „Siedmiu siostr” sprze daje te sama ropę naftową i jej przerobę krajom całego

świata już nie w oparciu o stawki i ceny bliskowschodnie, ale w oparciu o ceny obowiązujące przy wydobyciu ropy amerykańskiej, ropy niezwykłej drogiej, gdyż wydobywanej z pokładów leżących często na głębokości 5 tys. metrów. Ta właśnie różnica cen, która często dochodzi do 200 proc. umozliwia, mimo pozorów sprawiedliwego podziału, uzyskiwać zawrotne wprost korzyści. I tej właśnie również zasadzie — „fifty-fifty” wydał zdecydowaną walkę Enrico Mattei i jego Ente Nazionale Idrocarburi.

No tak, ale Enrico Mattei... 28 października w prasie całych Włoch ukazał się następujący komunikat: „Wczoraj, w sobotę 27 października 1962 roku w katastrofie samolotowej pod Mediolanem, w podróży służbowej, zginął prezes ENI — Enrico Mattei. Samolot uległ wypadkowi bez wyraźnych przyczyn. Podejrzewa się sabotaż. Śledztwo trwa”.

KIEDY BÓG TWORZYŁ ŚWIAT...

Kiedy Bóg tworzył świat to każdą z jego części, ziem i

narodów obdarował jakimś do brodziestwem i bogactwem. Diabeł, który ponoć nieustannie przeszkadzał w tej pracy, napatoczył się Panu Bogu, gdyż ten zajęty był w „okolicach” dzisiejszego Morza Czerwonego, więc zgniwany Najwyższy sygnął nań garścią piachu.

Tak miały rzekomo powstać pustynie Arabii.

Ala aby zrekomensować mieszkańcom tych pustkowi swój gniewny gest, Bóg ukrył pod zwalami piasku w pustyni to co dla współczesnego świata jest jednym z najcenniejszych bogactw: ROPE, NAF TOWĄ.

Wyleczenia są ścisłe i pewne jak tajemnica szwajcarskich banków.

Przyjrzyjmy się tym liczbom, pokazującym stwierdzone przez geologów zasoby złóż ropodajnych (w milionach ton).

rok 1960	rok 1965
■ ŚWIAT 40.100	46.500
■ BLISKI WSCHÓD	
24.750	28.800

Oznacza to, że w każdym przypadku więcej, jak połowa znanych światowych zasobów ropy naftowej przypada na kraje Bliskiego Wschodu, kra-

je i państwa, które po zrzuconiu reżimu kolonialnego bądź półkolonialnego coraz częściej lepiej rozumieją swój narodowy interes, coraz lepiej potrafią leczyć i częściej prowadzą politykę sprzeczną z interesami międzynarodowych, głównie anglo-amerykańskich monopolii i koncernów.

I — o to toczy się walka. Jej diariusz daleko wstecz wyprzedza czerwcowe dni agresji Izraela na Syrie, Jordanię i Zjednoczoną Republikę Arabską. Bo gdzieś w cieniu, za kulisami wojennego jargonu niewątpliwie kryje się także to, co mieni się „płynnym złotem”, czyli NAFTA.

Przyjmijmy: ■ rok 1956: nacjonalizacja naftowej magistrali — Kanalu Sueskiego przez ZRA, trójstronne uderzenie na Egipt przez Izrael, Francję i Wielką Brytanię;

■ Jest rok 1966: Ciagle z 11 dolarów, które europejski nabywca płać za tonę ropy w którymś z krajów Bliskiego Wschodu zostaje zaledwie dolar. Jeden dolar, z eksploatacji i eksportu ropy naftowej z sześciu krajów położonych nad Zatoką Perską naf-

ciarskie monopole zarobiły w latach 1960—65 okragłą sumę 19 miliardów dolarów. 19 miliardów!

Ala wskazówki zegara idą naprzód. Od listopada 1966 roku do wiosny 1967 roku trwa konflikt między Syrią a koncernem nafiarskim IPC, bowiem ów międzynarodowy koncern nie chce zapłacić lewicowemu i postępowemu rządowi Syrii należnych mu kwot za transport ropy przez terytorium Syrii. Powstaje groźba, przed którą ugięło się nie tylko IPC, że ropociągowe „nitki” idące znad Zatoki Perkiej przez Syrie będą zamknięte, że monopole przestaną czerpać miliardowe zyski z bogactw narodów Bliskiego Wschodu.

Rozpoczyna się zakulisowa gra. Na 10 dni przed agresją Izraela na Zjednoczoną Republikę Arabską, amerykańskie pismo finansiers „Wall Street Journal” publikuje artykuł w którym stwierdza, że mocarstwa zachodnie zgromadziły 2-miesięczne zapasy ropy naftowej i są w stanie przetrzymać perturbacje na nafiarskim rynku, jak również okresowe zatrzymanie dostaw ro-

py czy też blokadę Kanalu Sueskiego.

To już groźba. Wreszcie przychodzi czerwiec 1967 roku.

OPERACJA KRYPTONIM AANOCHIN

Podobno Aanochin oznacza legendarnego pioniera, który miał wyprowadzić na podbój dawne plemiona Judy. W dniu 5 czerwca naczelne dowództwo sił zbrojnych Zjednoczonej Republiki Arabskiej opublikowało komunikat:

„Dziś o godz. 7.00 Izrael zaatakował ZRA, bombardując lotniska na Półwyspie Synaj w strefie Suezu, bazę lotniczą pod Kairem oraz Szarm el Szek w pobliżu Cieśniny Tirana u wejścia do Zatoki Akaba...”

Agencja Reutersa w parę godzin później napisała: „Uderzenie Izraela wywołało uczucie ulgi w kołach oficjalnych i finansowych Waszyngtonu. W ten sposób Izrael wydobyl USA z nieznosnej sytuacji dyplomatycznej uwalniając je od ryzyka bezpośredniego udziału...”

KRZYSZTOF POGORZELEC

Rozmowa z Bernardem Sztajnerem

ODGŁOSY: Czy zamieszczone obok opowiadanie pochodzi z przygotowanego do druku tomu?

B. SZTAJNERT: Tak. Pochodzi ono z tomu pt. „Powrót Guhlwera”, na który dotychczas nie znalazłem wydawcy.

ODGŁOSY: Czy kontynuuje Pan tematykę z pierwszych tomów swoich opowiadań?

B. SZTAJNERT: Jest to kontynuacja, ale tylko częściowa. Przesuwam moment filozoficzny z „ontologii” do spraw „filozofii życia”. Oczywiście, filozofii pokazywanej środkami literackimi.

ODGŁOSY: Czy oprócz tych opowiadań przygotowuje Pan coś nowego do druku?

B. SZTAJNERT: Owszem. Powieść „Księga snów” i tom opowiadań „Ludzie z miasta” dla Wydawnictwa Łódzkiego. W Wydawnictwie Poznańskim znajduje się moja powieść „Księga zdarzeń”.

ROZMAWIĄŁ: Z.

BERNARD SZTAJNERT

GODZINA PO WIECZORZE

Pan jeszcze nie może dojść do siebie? Jeszcze się pan dziwi, że pije pan ze mną wódkę, że być może wysłucha pan, kiedy sobie raz jeszcze gołniemy, moich zwierzeń. To dopiero godzina, godzina po wieczorze autorskim... Niech pan powie, czego pan się spodziewał po swojej wypowiedzi, że rąbną pana butelek — chociaż ja byłem pijany, jak zawsze w czasie spotkań z czytelnikami. Nie było butelek, ale były krzesła. Młody człowieku, zachował pan się z godnością, ale nie docenia pan krzesła. Widzi pan, krzesła służą nie tylko do siedzenia. Wie pan, najciekawsze jest to, że pan miał rację, i to nie tylko własną racją, ale jakąś szerszą, że tak powiem rację przedmiotową. To prawda, jestem grafomanem, półidiotą, masochistą — przecież jestem tak rozkojarzony, że nie potrafię składować wypowiedzieć kilku zdań, a cóż dopiero pisać. Z tym już dawno skończyłem. Ostatni utwór literacki napisałem 10 lat temu. Teraz jest tylko odświeżam, na przykład tam gdzie było „radio” wstawiam „televizor” itd.

Widzi pan, że jestem człowiekiem oryginalnym i dość odważnym. Pijemy przecież razem — no to pijmy! Opowiem panu o sobie, opowiem tę część, która w tej chwili wydaje mi się wszystkim. Pytałem pana czy pan do siebie doszedł, otóż ja właśnie od siebie odchodzę. Jestem coraz dalej — widzę siebie jako małą, łysą figurkę w okularach, biegnącą chwiejnym krokiem do źródła, z którego wywodził mój czas.

Urodziłem się i żyłem w zamroczeniu, z małym udziałem świadomości. Popychano mnie i żądano trzeźwości. Mówiono mi: „Teraz wstań, zapnij guzik — guzik, guzik! Uczesz się. Ukleń się ładnie. Daj tatuziowi gazetę. Wytrząśnij dziadkowi fajkę!” Starano się być pożyteczny. Biegałem gorliwie po mieszkaniu, często przewracając się na kolana. Kiedyś padając uderzyłem podbródkiem w róg krzesła. O, widzi pan, to tutaj. Bałem się uderzyć. Moje życie wydawało mi się nierzeczywiste, zagrożone lada dmuchnięciem. Czy zdołam prześlagać wszystkich bogów? Codziennie ulice ocierały się o mnie ścianami zgrzytliwie hamujących tramwajów. Przypadkowy obrót głowy ocierał mnie przed masakrą. Onieśmiałony przebiegałem podwórka pełne dużych, silnych chłopców. Kiedyś zawołał mnie. Zapytał w co się bawię, ale największy trzymał w garści kłapę mojej marynarki. Puścili mnie, wydzierając kłapę marynarki. Zza wydartego materiału wyjrzała gruba plecienka: to na niej, nigdy dotąd niewidzialnej, jak na rusztowaniu, onierał się granatowy materiał marynarki. Pobiegłem

do domu płacząc. Ubranie naprawiono, jednak pozostał na kłapie szew przypominający rozdarcie. Ten wypadek otworzył mi oczy na dwoistość rzeczy: jedną mniej ważną i piękną ich naturę zewnętrzną i drugą istotniejszą, ukrytą, szpetną, lichą. Wszystko jest czymś innym niż się wydaje. Rzeźwistość pektla przede mną i przez szklenę zobaczyłem jej robaczywą głębię; kim była moja matka, kim byłem ja, kim jestem ja? Zewnętrznie jestem znakomitym pisarzem, w istocie jestem kabotyńcem i grafomanem — rozumie pan, grafomanem. Nikt nie odważył się mnie tak nazwać publicznie, pan to zrobił pierwszy. Proszę pana, niech pan mi powie, czy panu zły chłopczyk rozdarł w dzieciństwie ubranie? Czy dostrzegł pan wcześniej wnętrza pluszowych foteli, pełne trocin, siano i zardzewiałych skręconych drutów? Wiem, że pan dostrzegł, wiem, że pan widzi rzeczy prawdziwie, tak jak ja. Dlatego nie mam żalu, zaoszczędzę panu nawet uwag o tym, kim pan jest naprawdę — zewnętrznie wydaje się pan obrońcą oszukiwanych widzów — głosicielem ogólnej, pogwałconej prawdy. Ale dość o panu. Pije z panem, bowiem chce panu mówić o mnie. Tak więc zgoda, jestem grafomanem. Doszedłem jednak do pewnego znaczenia, dużo publikowałem — wydawałem książki. Widzi pan, początek miałem ciężki — od czasu do czasu jakiś wierszyk w drugorzędnym piśmie, jakaś humoreska bez znaczenia. Pracowałem w tym czasie jako urzędnik, pracowałem wiele lat, byłem złym urzędnikiem. Tolerowano mnie jednak ze względu na moją uległość i usługowość: „Panie dyrektorze” mówiłem szefowi w gabinecie ścisłym głosem, „Naczelny dyrektor to zewnętrznie łowialny, życzliwy osobnik. Niech pan wierzy mojej intuicji. On pana chce zmienić, usunąć. Wiem, że mogę wydać się śmieszny, powołując się w podobnych sprawach na intuicję, ale niech pan weźmie pod uwagę, że nie jest to intuicja szablonowa — jest to intuicja artysty, szczególnie wyczułona”.

W ten sposób rozmawiałem z ludźmi, zdobywając ich zaufanie, odnosząc pewne sukcesy — wypowiadałem najbardziej prostackie, wręcz niedorzeczne enuncjacje, jednak poddawałem je nie wprost, lecz w pewnej relacji. — Mówiłem rzecz nieprawdopodobną, zarazem wskazując na pozorność jej nieprawdopodobieństwa. Ukazywałem kłamstwo, w gnieździe prawdy. Nade wszystko powoływałem się na siebie. Byłem stałym bohaterem moich monologów. Wmówiłem samemu sobie i innym, że jestem istotą specjalną — gwarantującą prawdę. Żyłem tak długo. Latami siedziałem przy biurku pokrytym zakurzoną, zieloną sukienką. Wycierałem w łokciach rękawy kolejnych marynarek, łysiałem. Prześladowała mnie myśl o własnym nieuchronnym grobie. W nocy śniła mi się rozkopana już ziemia. Nie wierzyłem w śmierć innych ludzi, natomiast przekonany byłem o własnej. Zdało mi się w letnie południe, gdy słońce przypiekało przez szyby, że wszyscy zmarli urzędnicy naszego biura pracują skupieni w sąsiednim pokoju. Umarli cicho, nieobowiązująco, tak, aby móc w każdej chwili powrócić w trybie służbowym, uważa pan, w trybie służbowym... Moja śmierć będzie ostateczna! Przerzął mnie widok nagrobkowych fotografii wykonanych na porcelanie. Zamykałem oczy mając wystawę fotografa. Nie miałem nikogo, komu mógłbym powiedzieć o grożącej mi ostatecznej, zupełnej śmierci. Wydawało mi się w tych dniach, że możliwość zwierzania się komuś, komu mógłbym bez obawy i narażenia się na drwinę udzielić części mego leku, zmieniłaby istotę grożącej mi śmierci, podwa-

żyła jej zasadę. Patrząc na spłowiełe płótno biurka, przerzucając arkusiki z moimi grafomańskimi wierszami, kładąc do toczki żalona prozę, czepiałem się uporczywie wizerunku sosnowego zagajnika, sterczących w czystym niebie wierzchołków brzoź. Stojąc w zagajniku, trzymam za rękę dziewczynę o grubym warkoczu, ubraną w jedwabny, szkolny fartuch. Oto jestem wolny od leku. Gładkie, mięsiste policzki dziewczyny. Jej duże wilgotne oczy, to ośrodki koncentrujące nieprzebrane zło życia. Akumulatory życia.

Nastąpił dzień, kiedy przyszedłem do biura z dwugodzinnym opóźnieniem, pijany.

Wbiłem nożyczki w kalendarz na biurku kierownika: „Niszczycie artystę, nie będę u was pracował ani godziny dłużej, słyszyście, ani minuty”.

Wyszedłem na ulicę. Przewycięzając lęk, mocno uderzałem butami o bruk, szedłem z przytupem w tym pierwszym dniu wolności, pierwszym dniu połączenia mnie prawdziwego z pozornym. Długo stałem przed gmachem Związku Literatów. Mrużyłem oczy w słońcu. Wódka wzbierała we mnie, wypierała mnie, byłem promienistą kreską, kreską światła. Spotkałem w bramie prezesa. Chciał mnie odprowadzić pod ramię do mieszkania: „Niszczysz artystę!”, krzyczałem mu prosto w twarz. „Gdzie moje stypendium! Gdzie wieczory autorskie!”. Prezes porzucił mnie na podwórku. Wdrapałem się po schodach i oddałem mocz przez dziurkę od klucza do mieszkania prezesa. Wyrzucono mnie z klatki schodowej. Pamiętam ucieczkę pod ramami czyjejsz szczioki na kiju. Stypendium dostałem — dostałem i wieczory, wiele wieczorów, pan był właśnie na jednym z nich. Co, chce pan uciekać? Niech pan zostanie, weźmiemy jeszcze ćwiartkę. Myśli pan, że już dosyć wie pan o mnie. Myśli pan, że można mnie tak porzucić z nieokreślonym grymasem wstępu. Nie, pan jeszcze o mnie nie wie. To dopiero początek, tak się zaczęło. Jestem niewyczerpany, rozrastam się we wszystkich kierunkach. Gdyby nie ta uporczywa myśl, pedantyczna zmora, która każdego wieczoru gryzie mnie w nogę. Uważa pan — o czym mówiłem? Mówiłem o mnie... To ja załatwiam się pod drzwiami wydawnictw. Tłuke szyby w radiostacji. Dziesięć razy spadam z fotela na podłogę na każdym bankiecie. Podnoszą mnie, czyszczą moje ubranie i sadzają znowu przy stole ze szklanką wody sodowej w reku. Nienawidzę ich za każdą wydrukowaną linijkę! Jest ich coraz więcej, wszyscy już piszą. Znam ich wszystkich — pamiętam nazwiska, pamiętam wszystko co wydrukowali. W redakcji udaje, że zapomniałem o nich — anonimowi konkurenci — szkaluję ich, co nie przeszkodzi mi nazajutrz szukać u nich zarobku. Dlaczego pan wstaje? Niech pan nie odchodzi! To wszystko co mówiłem dotąd było nudne — teraz właśnie chcę przejść do rzeczy ciekawych, proszę zostać, weźmiemy jeszcze wódkę. Ktoś przecież musi mnie wysłuchać do końca, ktoś przecież musi się dowiedzieć.

POLONICA

WYSTAWA PLAKATU POLSKIEGO

Stawa polskiego plakatu z roku na rok zatacza w świecie coraz to szersze kręgi.

Konsulat Generalny w Ostrawie wraz z Muzeum w Czeskim Cieszynie zorganizowały ostatnio (od 10 do 30 maja) wystawę plakatu politycznego. Swoje prace wystawiają najwybitniejsi polscy graficy. Wystawa cieszy się dużym zainteresowaniem nie tylko wśród Polaków, mieszkających na tym terenie, ale także wśród społeczeństwa czeskiego.

(er)

„LE FIGARO” O „REKOPISIE ZNALEZIONYM W SARAGOSIE”

Recenzent filmowy paryskiego dziennika „Le Figaro” pisze z entuzjazmem o naszym filmie pt. „Rekopis znaleziony w Saragossie”.

Przypominając, że autorem opowieści pod tym tytułem, napisanej po francusku, jest Polak Jan Potocki, recenzent twierdzi, że książka naszego rodaka zasługuje na nie mniejsze wyróżnienie niż dzieła surrealistów, które przyniosły sławę takim pisarzom, jak André Breton, Robert Desnos i ich przyjaciele. W dziełach tych przede wszystkim eksponowany jest świat fantastyki. Postacie Potockiego przeżywają przygody i cudowne zdarzenia w taki sposób, w jaki je przeżywał bohaterowie opowieści rycerskich.

Reżyser J. Has — jak twierdzi recenzent „Le Figaro” — doskonale zaadaptował utwór Potockiego. Kadry filmu przypominają najlepsze plenery Salvadora Dali i Tanguya. Dużą zasługą twórcy filmu jest, że nie starał się o zaznaczenie granicy między światem rzeczywistym, a światem fantazji, oddając w ten sposób właściwy klimat dzieła Potockiego.

Wybór scen, montaż, interpretacja sprawiła, że „Rekopis znaleziony w Saragossie” — podkreśla recenzent — jest arcydziełem fantastyki filmowej.

(J. sk.)

POLONICA

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Don Kichot

Mówiła:
narządź zbroję
przestrój telewizor
siódłaś konia
syczą już węże magnetofonów
w obłe kształty chmur
wbite są ognie strzał

Stukały maszyny do pisania

Dziewczęta w krótkich spódnickach
(dwadzieścia centymetrów powyżej kolan)
żegnają odchodzących

Jak zawsze jak niegdys

Znikali w kurzu i aureolach z plastiku
w pancerzach z laminatów
z tranzystorami jak szpada u boku
Rzwały niespokojnie ich zwierzęta lśniące
karmione benzyną

Wracali po latach
w sztucznych tworzywach
z pękami nylonowych kwiatów

I tylko Don Kichot przywiózł różę
prawdziwą

ale zaraz zwiędła

Wandurski na emigracji

Dalszy ciąg ze str. 1

także krótki żywot berlińskiej Sceny Robotniczej.

Z kilkumiesięcznego pobytu w Berlinie wywoził Wandurski szereg nowych doświadczeń; dla teatralnego działacza szczególnie cenne było spotkanie z politycznym teatrem Erwina Piscatora, którego wpływ odbił się natychmiast w wystawionej tu sztuce, oraz zapoznanie się z niezwykle silnym w Niemczech robotniczym teatrem amatorskim, zwłaszcza z organizowanymi przez KPD zwalczającymi brzdękami teatralnymi Agitpropu. Podsumowaniem dotychczasowych doświadczeń teatralnych dokonał Wandurski w obszernych „Wskazówkach inscenizacyjnych”, dołączonych do książkowego wydania „W hotelu „Imperializm” (Moskwa 1929). Był to najpełniejszy z ogłoszonych dotąd wykładów jego koncepcji inscenizacyjnych, w którym określał wyraźnie styl i charakter robotniczego teatru. Jego cechą znamieną była ostra groteska, podkreślona „wyrazistością mowy, gestu, ruchu i intonacji”, oraz swoiste „zmechanizowanie ruchu”. „Mechanizacja — pisał — standaryzuje akcenty, gesty, ruchy wykonawców, wykluczając z procesu twórczości przypadkowość i „natchnienie” i podporządkowuje dopasowane do siebie części zasadzie organizacyjnej”.

W KIJOWIE

Do Związku Radzieckiego przybył Wandurski latem 1929 roku, niedługo po Jasińskim, którego także odwiedził do granicy policja francuska. Z obu znanymi rewolucyjnymi pisarzami radziecka Polonia wiązała wiele nadziei. Liczono na to, że wzmacnią oni — niezbyt tu silną — kadrę polskiej inteligencji twórczej, przed którą stawały trudne zadania zorganizowania w skupiskach polonijnych aktywnych ośrodków kulturalnych, zdolnych do stworzenia w Kraju Rad polskiej kultury socjalistycznej. Jasińskiemu powierzono redakcję nowego pisma społeczno-literackiego („Kultura Mas”), Wandurskiemu natomiast, znanemu przede wszystkim ze swej działalności teatralnej — zorganizowanie teatru w Kijowie, środowisku najliczniej skupionej Polonii.

We wrześniu 1929 roku objął on kierownictwo istniejącego tu Państwowego Polskiego Teatru-Studio. Przejmował dziedzictwo wyjątkowo zaniedbane i trudne, był to bowiem grunt uprawiany doraźnie i z amatorską niekompetencją, tak w skali ogólnozwiązkowej, jak i lokalnej — kijowskiej. Wandurski krytycznie ocenił dotychczasową politykę kulturalną polonijnych działaczy, zarzucając im „chałupnicze kleczenie zespołów i zespołików”, bez określonego planu i „rozumienia prostej prawdy, że na „chybiczka”, „za psie pieniądze”, „psim swedem” nie trwałego zbudować się nie da”. Równie surowo wypadła ocena bezpośrednio pozostawionego mu dorobku. Pisał o tym:

„Linii klasowej w doborze zespołu nie było, planowości również. Nie było bowiem gruntownego przemyślenia zadań odrębnych teatru polskiego na terenie ZSRR. Kierownictwo Studium, nie władające (!) mową polską, na wysokości zadania nie stało. Ani pod względem wychowania politycznego młodego zespołu, ani pod względem fachowym, artystycznym. Tendencje drobniocześniejsze zakorzeniły się mocno. Język polski traktowano po macoszemu. Reżyserzy — Rosjanie o niskich kwalifikacjach przyczyniali się zazwyczaj do zachwasczenia mocno zaniedbanej mowy i wymowy. Całokształt więc dorobku trzydziestoletniego pozostawionego mi w spadku, przedstawiał się dość obskurnie. Jakiś to była robota, a nieraz wręcz szkodliwa”.

Do gruntownego zreformowania powierzonej mu placówce przystąpił Wandurski z niezwykłą energią i rozmachem. Pobudzała go możliwość zrealizowania nareszcie wymarzonej idei teatru. „Musi to być — podkreślał z naciskiem — teatr rewolucyjny, robotniczo-chłopski, proletariacki w treści, polski w formie (język, styl, kultura emocji)”. Zaczął od kompletowania nowego zespołu, pozostawiając z dawnego jedynie 11 osób. Jednocześnie w polonijnej prasie ukazały się ogłoszenia o „naborze” nowych sił do teatru z niefortunnym, jak miało się okazać, sformulowaniem że „pierwszeństwo mają osoby pochodzenia polskiego”, które silnie miało ważyć na szali stawianych mu zarzutów.

Dokonał także zmiany używanej dotąd przez teatr nazwy, uznając ją za zbyt zobowiązującą i nie pokrywającą się z działalnością teatralną na odpowiednim poziomie. Jego zdaniem nie mógł nosić jej zespół, który zacząć musiał od elementarnej nauki scenicznego rzemiosła. Na ten przejściowy okres szkoleniowy przyjęto więc nazwę: Polska Pracownia Teatralna w Kijowie, w skrócie — POLPRAT. Forma teatralnej pracowni była nadto bardziej elastyczna i zezwalała na łączenie zajęć szkoleniowych z występami dla publiczności, dopuszczając też możliwość eksperymentowania, której to drogi nie chciał sobie zamykać.

Prace reformatorskie w POLPRACIE objęły jednocześnie różne dziedziny teatralnego życia. Przede wszystkim opracowano nowy regulamin organizacyjny i szkoleniowy teatru, określono jego plany i zadania. Pisał o nich Wandurski:

„Po pierwsze, musimy założyć fundamenty pod rewolucyjny teatr proletariacki, tworzyć

nowe kadry aktorów, reżyserów i instruktorów dla przyszłej Polski Radzieckiej. Po wtóre, musimy pracę swą jak najszybciej zespolić z ogólnym budownictwem socjalistycznym w naszym Związku i przyczynić się do przeprowadzenia rewolucji kulturalnej w masach polskich”.

Interesującą przedstawiała się forma organizacyjna teatru, która była — zgodnie z tendencjami tego czasu — swoistym przeniesieniem na ten grunt zasad organizacyjnych w zakładzie produkcyjnym. Trzydziestoosobowy zespół został podzielony na kilka grup według stażu pracy, kwalifikacji i pełnionych zadań. Tytuł „starszego majstra” przyjął kierownik teatru, „majstrów” — reżyser główny, scenograf, aktorzy o pełnych kwalifikacjach i niektórzy pracownicy techniczni, „podmajstrów” — starsi stażem studenci. Ostatnią grupę tworzyli nowo przyjęci uczniowie. Prace zespołu podzielono na dwie części: szkoleniową i wytwórczą (występy). Ta ostatnia miała być realizowana dopiero po paromiesięcznym przeszkoleniu. Tak zorganizowany zespół, przydzielony w jednakowe robocze kombinacje, ujął Wandurski w karby surowej dyscypliny, żądając od zespołu pełnego oddania i poświęcenia. Tylko taki wysiłek mógł jego zdaniem być gwarancją osiągnięcia.

W ślad za reorganizacją zespołu szła przebudowa starego pomieszczenia Teatru-Studio, zajmującego niewielki lokal w centrum Kijowa, przy ulicy Armii Czerwonej 4. Zmian tych dokonano w myśl zasad „całkowitej racjonalizacji pracy teatralnej i największej użyteczności przestrzeni”, stosując „najnowsze wymagania budownictwa teatralnego”. Wyposażenie sceny składało się więc ze zautomatyzowanych zapadni i „okien”, wielopoziomowych podłóg i schodów oraz nowoczesnego oświetlenia. Odtąd scena, choć niewielka, dawała możliwości demonstrowania najbardziej skomplikowanych inscenizacji.

Czas przeznaczony na szkolenie trwał miał od września 1929 do stycznia 1930 roku, w istocie jednak przeciągnął się nieco dłużej, zbyt wolno bowiem (z powodu braku funduszy) przebiegały prace związane z przebudową pomieszczenia. Na ten okres Wandurski przewidział dla zespołu specjalny repertuar, który pokazywano w klubach, przedsiębiorstwach i fabrykach podczas przerw w pracy. Składał się on z dwu programów małych form (inscenizacje niewielkich utworów poetyckich i prozatorskich o treści rewolucyjnej) oraz utworów pełnospektaklowych, przeznaczonych dla większych scen.

Przygotowano w tym czasie dwa programy składane: pierwszy, o nastawieniu antywojennym pt. „Wojna — wojnie”, zawierający (poza „Radio-Maj”) Jasińskiego) dawne inscenizacje Wandurskiego (np. Prolog do „Misterium-buffo” Majakowskiego, „Inwalidzi” Standego i in.), drugi miał na celu zwalczanie przesądów obyczajowych i religijnych. Tworzyły go nowe inscenizacje: „Papież Plus IX w Raju” (wg Lafargue’a), fragmenty „Pamiętników włóczęgi” Łęcińskiego i „Rozmowa Szeli z Chrystusem” Jasińskiego. Obok nich w sezonie teatralnym 1929/1930 przewidywano wystawienie dwu utworów pełnospektaklowych: „Sen srebrny Salomei” Stowackiego w nowej inscenizacji Wandurskiego i także w jego adaptacji scenicznej, „Przygody Tomka Sawyer’a” Twaina’a, widowisko przeznaczone dla młodzieży. W przyszłych planach POLPRATU znalazły się „Rzecz gromadzka” Jasińskiego i „Proletariat” Broniewskiego (nigdy nie ukończony) oraz „Śmierć na gruszy” w nowej przeróbce autora. Zakładano jednak, że w tym sezonie zostaną zrealizowane tylko cztery programy, taka bowiem ilość — argumentował Wandurski — „to maksimum, co dać może teatr nie naruszając na szwank jakości artystycznej widowiska”.

Działalności POLPRATU od początku towarzyszyło żywe zainteresowanie polonijnego środowiska, działaczy politycznych i kulturalnych. Wyraziło się to m. in. w zainicjowanej przez Tomasza Dabala dyskusji o Wschodniozwiązkowym Teatrze Polskim, którym stać się miał w przyszłości prowadzony przez Wandurskiego teatr. Brał on także czynny udział w tej dyskusji, publikując na łamach polonijnej i ukraińskiej prasy szereg artykułów, w których mówił szeroko o planach i zadaniach prowadzonej przez niego placówki. Rychno jednak dyskusja, rozpoczęta życzliwym głosem Dabala, wysoko oceniającego dotychczasowe prace POLPRATU, przerodzić się miała w akt oskarżenia przeciwko Wandurskiemu. Działalność polonijni zaskoczeni „ianością” teatru, nie rozumiejąc artystycznych koncepcji Wandurskiego, zaczęli niechętnie patrzeć na jego gruntowne i niewątpliwie gwałtowne zmiany w teatrze. Pierwszy atak przyszedł nieoczekiwanie ze strony byłych członków zespołu POLPRATU, którzy odeszli z teatru (nie wiadomo o jakich przyczyn). Krytykowali oni ostro politykę personalną kierownika, pracowni, kwestionując zarówno dobór, jak i realizację sceniczną wystawianych tu utworów. „POLPRATOWI — stwierdzano — potrzebna jest klasowa kierownicza rada polityczna, która nie pozwoli na żadne odchylenia, na żadne klasyczne sztuki („Sen srebrny Salomei”), na żadną meyerholdowszczyznę, tak bezwzględnie osadzona przez klasę robotniczą Związku Radzieckiego”. Wystąpienie to miało być brzmienne w skutki dla dalszej działalności teatralnej Wandurskiego w Kijowie. Zawarta w nim krytyka podważała rację istnienia teatru zaledwie po paromiesięcznej działalności. Kiedy nie zdołał on jeszcze zaprezentować wszystkich swych możliwości.

Wkrótce zaczęły narastać konflikty także wewnątrz zespołu. Część aktorów, być może zmęczona zbyt żmudnym zdobywaniem kwalifikacji aktorskich, na jednej z narad zaczęła kategorycznie domagać się częstszego występowania przed publicznością, przyspieszenia i skrócenia czasu przeznaczanego na przygotowanie spektaklu. Szczegrze zatroskany o poziom artystyczny występów kierownik nie zgodził się na ten postulat. O-



pisala te wewnętrzne spory zespołu nieco później prasa polonijna, formując na tej podstawie szereg zarzutów przeciwko Wandurskiemu.

Musił dotkliwie odczuwać narastającą wokół niego nieufność, skoro próbował odwołać się do innych opinii: zaprosił mianowicie do Kijowa grupę pisarzy i dziennikarzy z Moskwy, by im zaprezentować prace teatru. Był wśród nich wypróbowany zwolennik jego teatralnych koncepcji — Bruno Jasiński, który cieszył się w ZSRR dużym literackim autorytetem. On to ogłosił po tej wizycie w ukraińskim piśmie „Proletariacka Prawda” obszerny artykuł o POLPRACIE, w którym z entuzjazmem mówił o osiągnięciach i planach teatru.

Wypowiedź Jasińskiego — wbrew przypuszczeniom — nie pomogła sprawom POLPRATU, nie zdołała przekonać polonijnego kręgu, a przeciwnie stała się powodem ponownych ataków, którym dostarczyła nowych argumentów. Zarzucono im, zwolennikom tezy, że polska kultura w ZSRR nie może rozwijać się w oderwaniu od jej „etnograficznego pnia” — literatury i sztuki w kraju, błędne poglądy i teorie, których istote określono jako „emigrantryzm”, „czyli „nacionaloportunizm”. Najogólniej działacze polonijni rozumieli to jako wysuwanie na plan pierwszy problemów narodowych w kwestiach rewolucji społecznej, ekonomicznej i kulturalnej. Pisał o tym: „cała ich uwaga przykuta jest do walki rewolucyjnej kraju, z którego przybyli i mieszają te problemy do budownictwa socjalistycznego”.

Rezultatem tej krytyki były zmiany w repertuarze POLPRATU: zrezygnowano z wystawienia dramatu Stowackiego, a na to miejsce przygotowano w trybie „szturmowym” dwie radzieckie sztuki współczesne: „Dyktatura” i „Czerwony siew”. Nowy sezon teatralny 1930/1931 rozpoczął kijowski teatr już jako placówka upaństwowiona, przyjmując po roku nową nazwę: „1-szy Państwowy Teatr Polski”. Wandurski objął tymczasowo funkcje dyrektora. Mimo tych zmian nie wszystko musiało układać się najlepiej, skoro po półroczym kierowaniu teatrem jako dyrektor, Wandurski składa następujące podanie:

„Z powodu szczególnego położenia i mojego krótkiego wyczerpania nerwowego, skonstatowanego przez lekarzy, nie posiadam fizycznej możliwości pracowania dalej w Polskim Teatrze i w ogóle w jakikolwiek polskiej organizacji”.

Po doprowadzeniu przez mnie do końca przygotowań wyjazdowej brzołady ze sztuką „Czerwony siew”, obsługująca kampanie siewna w przygranicznych rejonach polskich, tj. do 2 października tego roku, proszę o zwolnienie mnie z pełnienia obowiązków i pracy w Polskim Teatrze”.

Przyczyną tej dramatycznej decyzji była stale pogarszająca się atmosfera pracy z zespołem i nie milknące dalej w prasie głosy oskarżeń. Teatr mimo materialnej stabilizacji nie rozwijał w tym sezonie szerszej działalności. Wandurski nie otrzymał zwolnienia, wyjechał na Krym leczyć nadzarpnięte zdrowie. Do lutego 1931 roku przygotował z zespołem tylko jedną sztukę, „spolszczoną” przez niego „Hute” białoruskiego pisarza G. Kobeca, której premiera odbyła się już nie za jego dyrekcji.

Głęboko rozczulony, nie wyjaśniał swego stanowiska, nie składał także samokrytyki, nie bronil się przed zarzutami. Nie stawił się również na zwolnienie w grudniu 1930 roku w Moskwie Wschodniozwiązkowej Naradzie Polskiej, na której nienależnie miejsce zajęła sprawa nacionaloportunistycznego odchylenia. Za głównych wyrazieli tych tendencji uznano Dabala, Heltmana, Jasińskiego i Wandurskiego. Dabal i Jasiński złożyli na tej naradzie samokrytykę, przyznając się do zarzucanych im błędów. Nie było tylko Wandurskiego, którego nieobecność poczytano za trwanie przy popełnianych błędach i „faktyczną ich obronę”.

Dla Wandurskiego po tej naradzie sprawy pocięły się szczególnie dramatycznie i szybko. Nie pomogły już nic — zbyt późno na łamach polonijnej prasy ogłaszane — listy samokrytyczne. Niedługo potem otrzy-



mał pismo zwalniające go ze stanowiska dyrektora teatru w Kijowie z dniem 5 lutego 1931 roku. Nowym dyrektorem został jego dotychczasowy zastępca A. F. Gordienko. Stało się to na niespełna miesiąc przed uroczystym otwarciem upaństwowionego teatru, które odbyło się 3 marca tego roku. Wyjechał do Charkowa, a następnie do Moskwy. Zegnął go głos nieprzychylny i niesprawiedliwy. „Wandurski — pisano — zawiódł zaufanie i nie wywiązał się z powierzonych mu zadań. Jego kierownictwo, zamiast stać się czynnikiem wzmożenia i wzrostu teatru, stało się czynnikiem hamującym i szkodliwym...”.

W MOSKWIE

Odzisolowany od czynnej i absorbującej go do tej pory niemal wyłącznie działalności teatralnej, powrócił Wandurski w Moskwie do twórczości literackiej. Ukończył tu pracę nad dramatem „Raban”, którą rozpoczął jeszcze w Berlinie. Był to obszerny, czteroktowy, utwor sceniczny, w którym przedstawił kartę z dziejów walk KPE w „okrędku przemysłowym Polski faszystowskiej”. Pod tą nazwą kryła się Łódź i jego własne doświadczenia politycznego działacza, które wykorzystywał z autentycznym pędem. Powstał w ten sposób jedyny w swoim rodzaju dokument walki robotników, silnie osadzony w rzeczywistości swego czasu. Duży bagaż obyczajowej, społecznej i politycznej obserwacji w sposób niezwykle charakterystyczny zaciężył na strukturze dramatu, czyniąc z „Rabanu” rodzaj udratyzowanego reportażu, pozbawionego jednak większej siły dramatycznej. Wystawił go w ZSRR dwa teatry: prapremiera odbyła się w polskim teatrze w Kijowie, w lutym 1932 roku, tym samym, z którego odszedł rok temu; w maju tego roku wystawił go także (w języku rosyjskim) młody zespół Teatru MOSPS (później im. Mossowietu) w Moskwie. Recenzenci pisali o utworze życzliwie, choć w prasie polskiej nie brak było pouczeń, głównie politycznej natury.

W Moskwie w 1933 roku wyszła w wydaniu książkowym dość gruntuwa przeróbka „Rabanu”, przystosowanego do grania na scenach amatorskich. Autor dał jej nowy tytuł: „Wbrew”. Wydawnictwo „Młoda Gwardia”, które wydało te sztuki zapowiadało także nowe utwory dramatyczne Wandurskiego. W druku był już czteroktowy melodramat pt. „Wiara, nadzieja i miłość”, a następnie miały ukazać się: „Trampolina” (komedia w 4 aktach) i „Marcin Kasprzak” (dramat historyczny). Utwory te zaginęły, wydaje się, bezpowrotnie.

Równoległe z twórczością dla sceny (także adaptacje) rozwijała się w Moskwie działalność teatralna Wandurskiego. (Był też najbardziej autentycznym pasją swojego życia — mimo przeciwności — zawsze wierny). Tym razem była to praca instruktora i organizatora scen amatorskich w Międzynarodowym Związku Teatrów Robotniczych (MORT). Brał także udział w posiedzeniach sekretariatu tego związku, gdzie zasiadali m. in. Meyerhold i Piscator oraz próbował zreformować istniejącą przy nim scenkę o dość szumnej nazwie „Międzynarodowy Teatr”. Niedługo potem znow w dokumentach odnajdujemy jego prośbę o zwolnienie. Ostatnim śladem działalności teatralnej Wandurskiego jest obszerny artykuł pt. „Dramaturgowie — amatorski teatr. Amatorskiemu teatrowi — dramaturg”, zamieszczony w „Międzynarodowym Teatrze” (Moskwa 1933, nr 3), wymownie świadczący o tym, że idea robotniczego amatorskiego teatru, z którym — wzorem Proletkultu — łączył nadzieje odrodzenia sztuki teatralnej, nie opuszczała go także do końca. Trzymał się tych koncepcji z dość znamiennym uporem, od lat bowiem nie były już one popularne, a w Związku Radzieckim uznano je nawet za szkodliwe.

W toku tych ożywionych prac zupełnie niespodziewanie, w niewyjaśnionych okolicznościach, zostaje aresztowany jesienią 1933 roku. W 1956 roku zrehabilitował go, jak wielu innych pisarzy i działaczy, Najwyższy Sąd Wojskowy ZSRR.

HELENA KARWACKA

MARIA
KORNATOWSKA

Seks, brutalność i...

Jesteśmy świadkami potężnej inwazji seksu w światowym filmie. Nawet tak purytańskie i cnotliwe kinematografie jak angielska i amerykańska poczęły nurzać się w występku i rozpucie, i to z wyraźnym upodobaniem. Owej inwazji erotyzmu towarzyszy wernie fala brutalności i sadyzmu, obsesja gwałtu i przemocy. Im kraj bardziej ustabilizowany i zrównoważony, im naród święty spokój nade wszystko ceniący — tym straszliwsze filmy cy przed nim rozstrzyga obrzydliwie krwawo i perwersyjnie. Innych okropności. Exemplum — Szwecja. Socjologowie i inni uczeni w piśmie, wielce się temu dziwią i przyznają takowe-ko stanu rzeczy w tomach grubych a mądrych próbują dociec. Allicie nie takie to łatwe. Być może jedna z istotnych przyczyn stanowi konieczność nieustającej konkurencji z telewizją. Telewizja, jak powszechnie wiadomo, jest instytucją rodzinną, sprzyja spoistości rodzinnemu ognisku, krzewi cnotliwą obyczajność i wpływa budująco na dziki. Wszelkiego rodzaju nuda płynie z telewizyjnych ekranów, kraszona mdłymi a jakże budującymi uśmiechami speakerów i im podobnych, przyczynia się niebawle do podniesienia moralnego poziomu życia towarzyskiego i rodzinnego. W tej sytuacji komercyjnie kino wybrało rolę ponętnych kusielki, ofiarowując przesyconemu cukierkowymi cnotami doktorów Kilderów mieszcuchowi, bogatym asortyment „mocnych” wrażeń, i sfrustrowany mieszcuch chętnie le wrażeń kupuje. Wzrasta frekwencja w kinach. Leci forsą do kieszeni sprytnych producentów i reżyserów.

Wielki włoski reżyser filmowy Luchino Visconti powiedział, że dlatego uczynił miłość kazirodcą, miłość brata i siostry, tematem swego filmu „Błędne gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzi”, iż jest to jedyna obecnie postać tzw. „miłości niemożliwej”, a tylko taka miłość stanowić może tworzywo prawdziwego dzieła sztuki. Visconti nie jest odosobniony w swoich mniemiach. Panuje niemal powszechne przekonanie, iż przesyłanie istniejącej miłości tabu obyczajowe i moralne, bariery uniemożliwiającej czy też utrudniającej spełnienie się uczuć. Ogromny rozwój kontaktów społecznych związany z coraz większą socjalizacją życia, rozkwitem środków komunikacji, tempem i dynamiką współczesnej cywilizacji — ułatwia i przyspiesza nawiązywanie kontaktów uczuciowych czy erotycznych. Trudno jednak z całą pewnością utrzymywać, iż żyjemy w epoce swobodnych obyczajów, gdzie wszystko jest dozwolone, gdzie wytarła została ze świadomości ludzkiej pojęcie „grzechu”. Zwolennikami tego rodzaju poglądów są na ogół zanci starszaki i w rozróżnieniu wspomniany piękne czasy własnej młodości. Ich ojcowie a nasi dziadkowie ich z kolei uważali za rozwiązłych. Historia się powtarza. Każde pokolenie przeżywa swój okres „burzy i naporu” i swój okres biadania nad upadkiem moralności. Być może w tym właśnie zasadza się tzw. dzieło-wo sprawiedliwość. Nie sądzę, iżby nasza epoka miała być gorzej od innych. Obsesja zboczeń seksualnych i rozmałych perwersji niekoniecznie musi być rezultatem nadmiernej swobody obyczajowej, prowadzącej do spowszechnienia i spłoszenia erotyzmu. Poza wspomnianymi już względami natury czysto komercyjnej, w owym rozmiłowaniu się kina w tema-

tyce erotycznej, i to często wynaturzonej, znaczną rolę odgrywa rysująca się w dzisiejszej sztuce tendencja antyhumanistyczna.

Otoż brutalny erotyzm chętnie chadza w parze z masochizmem, z degradacją fizyczną i moralną człowieka, z pogardą, ledwo ukrywana, dla istoty ludzkiej. Widać to znakomicie na przykładzie wielu filmów szwedzkich, chociażby osławionego dzieła Sjömana „49”. Zresztą po co daleko szukać. Wystarczy obejrzeć „Wstręt” Polańskiego. To niesłychanie typowy dla pewnych „mód” filmowych i dla bardzo określonych, antyhumanistycznych tendencji we współczesnej sztuce. U Polańskiego obsesja nienawiści do ludzi znajduje wyraz w ich spłagiatowaniu fizycznym i moralnym. Bohaterami swoich filmów, ale i widzami, do którego je adresuje. Wyprowadza go w pole, chce wydrwić okrutnie jego przekonania i jego mentalność. Ogromna popularność Polańskiego wynika zapewne z faktu, iż z tak głębokim przekonaniem i w tak wirtuozowski formalnie sposób wypowiedział on pewne aktualnie modne nastroje. Znalazł zresztą szybko naśladowców. „Uczniem Polańskiego” nazywa prasa 28-letniego angielskiego reżysera Petera Collisona, autora oświadczonego „adystycznym erotyzmem” filmu „The Penthouse”. Uczeń, jak się zdaje, prześcignął mistrza.

Dominujące ostatnimi czasy formy ekranowego erotyzmu nie tyle zachęcają do „grzechu”, nie tyle kuszą urokami zmysłowych uciech. Ie właśnie zohyzdają człowieka w jego własnych oczach. I to jest chyba groźne.

Nie generalizujemy jednak. Każdy kraj ma swój specyficzny erotyzm. Na przykład w Polsce mamy do czynienia z erotyzmem infantylnym charakterystycznym albo dla niedoradzonych szubaków albo zdzieliniających starszków. Szwedzi uprawiają erotyzm mistyczny i na ponuro. Francuzi z uśmiechem i pikantnym wdziękiem. Cieszą się z erotyzmem realistycznym z haszkowskim humorem. Jurnie i zabawnie zarazem. Wiąże się to ściśle z tradycjami narodowymi i dziedzicami kultury, literatury, obyczajów, itd. Trudno zatem do rozmaitych zjawisk przykładać tę samą miarę. Śmiało sceny erotyczne w filmach Bergmana lub Antonioniego mała zupełnie inny sens niż w filmach wielu ich kolegów po fachu o mniejszych „ambicjach i talentach. Piękne sceny miłosne w filmie Agnes Vardy „Szczęście” w sposób dyskretny a zarazem interesujący artystycznie, noszą treść erotyczną, odwołują się do „zmysłowej radości, niepokój zbliżenia dwójga kochanków. Te sceny stanowią niezbędny element kompozycji myślowej całego filmu. Gorzej, jeśli reżyser traktuje na polu rozrebrana bohaterkę jako jedyny magnes mający przyciągnąć uwagę publiczności, jak to ma miejsce w jurgosłowski filmie „Sam na wyspie”.

Warto by się może zastanowić, podyskutować nad kwestią miłościwie nam panującej mody na tzw. sceny łóżkowe. Czy są one rzeczywiście konieczne? Czy nie gwałca w sposób narzbyt dosłowny pewnych bardzo intymnych sfer naszego życia. Dyskusja mogłaby przynieść sporo interesujących materiałów. Ale nie ludzmy się. Być może jest hyznesem. Kino nie potrafi się obejść bez silnej dawki najpospolitszego erotyzmu.

TERESA WOJCIECHOWSKA

MEFISTO z za żelaznej kurtyny

Zapamiętajcie sobie to nazwisko chociaż jest trudne do wymówienia — pisze recenzent wiedeński

Jest to artysta o pięknym głosie, perfekcyjnej wokalnemu i aktorskiej — pisze recenzent belgijski.

Austria, Belgia, Francja, Holandia, Jugosławia, NRF, NRD, Włochy — tam występował Andrzej Saciuk, stamtąd przywiózł recenzje pełne zachwytu i entuzjazmu dla znakomitego głosu i kunsztu śpiewaczego artysty dla jego talentu aktorskiego. Zachwyt znajduje realne odzwierciedlenie w nowych propozycjach występów zagranicznych, które zatacają coraz szerszy krąg geograficzny. Ostatnio podpisał umowę z nowożytnym impresario p. Willemem Steinem na wyłączność występów zagranicznych.

Francja znajduje w tych wojazach miejsce szczególne. Tam Andrzej Saciuk nieomalże zmonopolizował rolę Mefisto w „Faucie”. W tym roku występował we Francji już dwukrotnie, w październiku wybiera się znowu. Nazywają go tam żartobliwie: Mefisto za żelaznej kurtyny lub: Mefisto national francaise. W styczniu, natychmiast po premierze „Kniazia Igora” w łódzkiej Teatrze Wielkim, wyjechał na występy do Lille i Montpellier. W kwietniu pojechał po raz drugi — do Nicei i Tulonu. W październiku będzie śpiewał w „Faucie” inauguracyjnym sezon operowy w Lyonie. Już podpisał umowę na 10 spektakli „Fausta” w Lyonie i Avignon — w styczniu przyszłego roku.

W świecie muzycznym, śpiewaczem, Francji ma wielu znajomych i przyjaciół, w Lille, gdzie występował już kilkakrotnie, czuje się prawie jak u siebie w domu. Opowiada nam o życiu muzycznym Francji.

Działają tam tylko dwa państwa-wo teatry operowe: Grand Opera i Opera Comique, obydwo w Paryżu. Mają strukturę zbliżoną do struktury naszych teatrów: stałe zespoły, stałe etatowi soliści. Pozostałe teatry municypalne (jest ich siedem), mieszczące się w stolicach departamentowych (w tłumaczeniu na nasze stosunki — miastach wojewódzkich). Te teatry operowe dają przedstawienia dwa razy w tygodniu, stałe zatrudniają tylko orkiestrę, która jest również orkiestrą filharmonyczną, sezonowo angażują chóry, natomiast soliści zapraszani są na gościnne występy.

Taka właśnie operę posiada Lille, taka ma Montpellier, stare miasteczko w południowej Francji, mieszcząca się małowicznie na wzgórzach, licząca 125 tysięcy mieszkańców. Ma stare tradycje naukowe (mieści się tu uniwersytet założony w XII wieku) i kulturalne. Stąd zapewne w 125-tysięcznym mieście wspaniały teatr na 1.800 miejsc wzniesiony w okresie napoleońskim oraz znakomita bardzo muzykalna publiczność. Wyrobieniu muzycznemu sprzyja na pewno możliwość słuchania coraz to innych solistów z wiełu oper światła. W „Faucie”, w którym występowałem, śpiewali: Włoszka Felice



Fot. Fr. Myszkowski

Schiavi z La Scali, Korsykanin Giorgio Licioni i barytanka Jacqueline Sily, obydwoje reprezentujący Grand Opera.

Publiczność jest bardzo wrażliwa i reaguje żywiołowo. Jeśli domaga się bisu, to nie sposób odmówić — tupie, krzyczy, gwizdże i nie pozwala śpiewać dalej. Po przedstawieniu okupuje dosłownie wyjścia domagając się zdjęć i autografów. 100 fotofosów na jedno przedstawienie, to wcale nie za dużo. Otrzymuje też bardzo miłe listy z Francji. Panie zawsze proszą o zdjęcia i autografy z wymienieniem imienia. Pewien starszy pan przysłał mi list z wyrazami uznania i zaznaczył, że jestem drugim polskim śpiewakiem, którego słyszał. Pierwszym był Jan Klepura.

Artyści cieszą się w ogóle dużą sympatią i popularnością. Zaczepiani są w hotelach, restauracjach, lokalach. W Lille, w restauracji Petit Auberge (znakomita kuchnia!) artyści mają swoje specjalne stoliki. Po posiłku podchodzi do nich właściciel lokalu, czestuje cygarem i — prosi o zdjęcie, które umieszcza potem na specjalnej tablicy. „Wisze” tam w znakomitym towarzystwie Marii Callas, del Monaco i innych.

Dowodem umiłowania opery i pięknych tradycji jest zwyczaj tzw. Spektakli Pożegnania mających miejsce na zakończenie sezonu, w kwietniu. W takich właśnie imprezach brałem udział w czasie ostatniego pobytu w Nicei i Tulonie. Spektakl Pożegnania to imprezaganant, trwająca około 17 godzin — od 10 rano do 3 nad ranem. Składa się na nią rewia, przedstawienie operetki, a następnie fragmenty oper, wybrane z repertuaru sezonu w plebiscyście publiczności, w wykonaniu solistów również wybranych przez publiczność. Oto dla przykładu program części operowej „Pożegnania”: I akt i część II aktu „Fausta”, I akt „Cyganerii”, III akt „Werthera”, IV akt „Rigoletta”, II akt „Carmen” i fragmenty baletów. Odśpiewawszy swego Mefisto w Nicei wiadłem do samochodu i dzięki znakomitemu kierowcy w ciągu dwóch godzin pokonawszy przestrzeń 200 km, zdążyłem wystąpić w „Faucie” tułofskim. Przed wyjściem na scenę zdążyłem usłyszeć szept dyrektora: „Po arii niech się pan ukloni w stronę drugiej łoży, bo tam siedzi mer”.

Tradycja nakazuje klanianie się po arii, w czasie oklasków, dyplomacja nakazuje klanianie się w określonym kierunku. Może to u nas wywoływać uśmiech, ale to

wszystko świadczy przecież o uroczystym charakterze imprezy, o wadze jaka się tam przywiązuje do wydarzeń życia muzycznego.

Srodowisko muzyczne Francji, a przynajmniej ci artyści, z którymi się stąkam przejawiają duże zainteresowanie życiem muzycznym w Polsce. Album wydany z okazji otwarcia Teatru Wielkiego, który zawsze woże ze sobą, robi tam wielką furorę. Szokuje rozmach, wielkość, nowoczesność. Wielu artystów najwyższej rangi, na przykład Jacqueline Sily, przejawia szczerze zainteresowanie przyjazdem do Polski. I wprowadzie sa to śpiewacy najwyższej honorowani we Francji, ale jestem przekonany, że obniżyły swe honoraria, bo naprawdę chcą do nas przyjechać. Myślę, że tę szansę powinniśmy wykorzystać.

Z drugiej strony — możliwy jest chyba „eksport” naszych głosów za granicę. Łódzka Wzwyż Szkoła Muzyczna zwana była dawniej „wylegarnia słowików” — ukończyło ją wielu świetnych śpiewaków. W czasie ostatniego pobytu w Francji Andrzej Saciuk spotkał się z absolwentką łódzkiej WSM — Teresą Żyli-Gara na lamach czasopisma muzycznego „L'entracte”. O nim pisało w racji występu w „Faucie”: Polska przysłała do nas znakomitego Mefisto. O niej — z okazji występu w „Don Juanie”: Aż wstyd, że nie mamy tak znakomitego Elwiry.

Belgijski impresario p. Saciuka, pani Bruylant zaproponowała mi cykl spektakli „Berysa Godunowa” w języku francuskim, z grupą solistów belgijskich. Zgodził się, ale pod warunkiem, że będą to soliści polscy. I w ten sposób w przyszłym sezonie soliści Teatru Wielkiego w Łodzi wyjadą na występy do Belgii.

Co Andrzej Saciuk robi kiedy nie występuje za granicą? Co najmniej raz w tygodniu wyjeżdża w teren na spotkania, koncerty, przekroje operowe. Do Kutna, Łańcuta, Tomaszowa. Dziś koncert w Filharmonii Narodowej, jutro spotkanie ze słuchaczami w Łasku, dziś występ na Wawelu w Krakowie, jutro w Domu Kultury w Końskich, Nica, a potem wieś podłódzka.

Czy nie meczący to tryb życia? W każdym razie absorbujący i pochłaniający wiele czasu. Dlatego za niedbuję swoje obowiązki uczniowskie. Moim pedagogiem jest od lat prof. Stanisław Zawadzka, której zawodzłem bardzo wiele. Może dlatego, że była zawsze bardzo wymagająca i żądała coraz więcej, może dlatego, że bardzo surowa jest do tej pory i u niej ciągle czuje się jeśli nie sztubakiem; to w każdym razie uczniem, wciąż traktowanym i karcącym z jednokrowa surowością. I ciągle przyrzekałbym poprawę.

Nie powiedziałam jeszcze, że Andrzej Saciuk jest solista Opery Łódzkiej. Oczywiście, wszyscy to wiedzą. Ale prawdę powiedziawszy, tu so usłyszeć dość trudno. Śpiewa partie chana Kończaka w „Kniaziu Igorze”, piękna to partia ale niewielka. Poza tym Skoluba w „Strasnym dworze”, Sparafucle w „Rigoletcie” — to zaledwie epizody. Pamiętamy go w „Faucie” sprzed kilku lat, jeszcze w starej operze. Dziś możemy poczytać sobie recenzje francuskie. Zdaje się, że nasza Opera zanowiadała stworzenie nowego zespołu bez gwiazd. Ja osobiście wolełbym, równy zespół z gwiazdami. Publiczność zdaje się również.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„PLUTON 317” Francuz Pierre Schoendoerffera to film znakomity. Trudno o nim mówić, wynika się zrywkim kryteriom ocen. Przypada temu filmowi w udziale dziwna rola. Zamyka się w nim czas przeszły, gdyż o nim mówi. Niepokoi jego aktualna współczesność, przeraża wielka niewiadoma przyszłości. Dziwny to film. Mówiono w 1963 roku, że powstał pierwszy wybitny francuski film o wojnie, mówiono że dopiero po 10 latach pokazano kulisy wojny w Indochinach. Film kończy się lapidarną informacją narratorki, iż jeden z ocalałych pod Dien-Bien-Phou żołnierzy francuskich zginął kilka lat później w Algierii. Ten współczesny kondotier nie zmienił mundur, wybrano mu tylko inny kraj na miejsce śmierci. Ci zaś, przeciwko którym walczył, ci, których w filmie prawie nie widzimy, choć stale są walczy dalej o swoją ziemię z żołnierzami

w innych dziś mundurach. Dziwny to film, powstał z historii, żyje w teraźniejszości. Nie jest głosem moralisty, raczej dokumentalisty. I znow — dziwny to dokument, jeśli powstał po jedenastu latach od czasu rozegrania się wydarzeń. O jego autentyczności nie tylko pamięć i doświadczenie ludzkie zdecydowało, autentyzm tkwi w jego przerażającej aktualności. Dopisujemy dziś filmowi treść, której chyba w nim nie ma, nadbudowuje je historia, która tego rozdziału jeszcze nie zamknęła. Schoendoerffer nie rozprawił się do końca z kolonializmem, nie znajdujemy w filmie historycznej analizy i oceny wydarzeń. Schoendoerffer pokazuje jak na wojnie się walczy i jak umiera. Egzotyczna dżungla to miejsce w którym umierają Francuzi, oddaleni o tysiące kilometrów od własnego kraju. Umierają dla sprawy? „Sprawy”, ideał w filmie nie ma.

Jest tylko wojna, śmierć w dżungli, w strugach deszczu, w błocie. Jest bezradność i absurd tej wojny. „Sprawy” jest za ścianą dżungli, za wzgórzem, po drugiej stronie rzeki, tam, dokąd dotrzeć nie mogą żołnierze plutonu 317, plutonu, który wraz z końcem filmu przestanie istnieć. W tym pozornym milczeniu, w braku komentarzy tkwi siła filmu. Reżyser rejestruje zmagania ludzi z dżunglą, krótkie lecz tragiczne w skutkach potyczki z prawie niewidzialnym wrogiem, pokazuje żołnierski trud, braterstwo, rodzące się przyjaźnię, ludzka desperację i odwagę. Jest w filmie miejsce na okrutną prozę życia i śmierci. Są ludzie, są więc i rzeczy małe, i podłe, i wielkie. Jest wszystko, co w ludzkiej społeczności znaleźć można. Wszystko, prócz nadzrodnej ideał, która by tym ludziom towarzyszyła. Wszystko co ich łączy, sprowadza się

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

w gruncie rzeczy do jednego — spełnić żołnierski obowiązek i przetrwać, wyjść cało. O sensie tego obowiązku bohaterowie filmu nie mówią, o bezsensie ich umierania mówi cały film. Mamy w tym filmie dwie znakomite nakrecone sylwetki — dowódcy, porucznika Torrensa (J. Perrin), adepta szkoły wojskowej, który w Indochinach sprawdza swe umiejętności i sierżanta Willsdorfa (B. Cremer), dla którego żołnierka jest zawodem. Znakomicie dobrani dla ilustracji nadzrodnej tezy filmu są przeciwnie sobie, połączony ich jednak wspólny los, który zmarłotrawi ich siłę, pasję i odwagę. Ich śmierć w jednostkowym, ludzkim wymiarze jest bohaterowska, w rozrachunku ostatecznym antyheroiczna, wstydliwa. Są to bohaterowie, którym ludzkość pomnikowy nie wystawi, pomniki stawiamy przecież ideom, a nie ludziom samym.

PRZYPADEK SPRAWIL, że w moim notatniku lektur filmowych znalazł się dziś jeszcze jeden film z cyfry w tytule. Lektury jak lektury, bywają różne. „PLUTON 317” i „CASANOVA 70” — diwne zestawienie. Cóż? Okazja do jeszcze jednej refleksji. Dziwny ten nasz światek, ciągle toczy się tak samo. Sam M. Monicelli ma na swoim koncie świetny, drażliwy antywojenny, znany u nas film „Wielka wojna”. Teraz zrobił „Casanova 70”. Tak chyba trzeba. Cóż by tu o „Casanova 70”? Tytuł mówi sam za siebie. A do tego — Marcello Mastroiani, tym razem jako

Casanova we współczesnym wydaniu. Zeby było dowcipnie jest oficerem armii NATO, żeby było pikantnie szuka wielkich wrażeń w spotkaniach z przedstawicielkami piel pięknej różnorodności, ba różnorodności. Nasz „Casanova”, porucznik Andrea Rossi — Colombetti jest jednak wybredny, choć nie z własnego wyboru. Natura spłatała mu ten figiel, a pomocy jej uroczę partnerki miłości, które tak sam bohater filmu mówi są zbyt łatwą zdobyczą. Nasz „wielki kochanek” by odlał poczucie się mężczyzną musi znaleźć się w niebezpieczeństwie”. Te

pożoż za niebezpieczeństwem (czytał miłością) zaprowadzi uroczego Andrea nawet do klatki lwa, a do sypialni własnej, wreszcie, żony wchodzić będzie przez okno na wysokości drugiego piętra. Wesoly to i trochę nudny film. Mężczyźni mają jednak wreszcie dobrą sex-komedie, nasze babczki współczują Włoszkom, a może trochę zazdrościca, bo gdzież szukać krajowego Casanovy z taką fantazją. Podobno, a tak twierdzą co znakomitsi znawcy włoskiej obyczajowości, film ten zraniał do głębi uczucia jednej polowy mieszkaneów słonecznego półwyspu, gdyż próbował

Ewa Muszyńska

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Boris Vian

JESZCZE O VIANIE

Blisko rok temu pisaliśmy w tym miejscu o niezwykłym utalentowanym człowieku, jakim był Boris Vian. Z wykształcenia inżynier, był wynalazcą, aktorem, pisarzem (zawsze poeta), choreografem i librecistą operowym. Układał piosenki i sam je wykonywał. Pasjonował go jazz i ta pasja przyczyniła się do jego śmierci. Bowiem ciężko chory na serce grał na trąbce w jednym z zespołów orkiestrowych. Zmarł w roku 1959, nie dożywszy nawet czterdziestki. Jego życie i twórczość budzą dziś ogromne zainteresowanie. Ostatnio młody reżyser francuski Charles Belmont przystąpił do realizacji filmu opartego na powieści Viana pt. „L'Ecume des jours” (dosł. „Piana dni”), książki na pisanej dwadzieścia lat temu. Przypomnijmy, że pierwsza powieść Viana „Napływ na wasze groby” została sfilmowana jeszcze za życia autora, a autor zmarł na projekcji filmu.

„L'Ecume des jours” nie cieszyła się zbyt dużym powodzeniem.

Dopiero w r. 1963, a

więc w cztery lata po śmierci Viana jedno z wydawnictw francuskich wydaje się na drugie wydanie, nie licząc zresztą na większy sukces. I oto stało się coś, czego nie oczekiwano. Młodzież francuska rzuciła się na tę książkę. Rozchwytano nakład a zainteresowanie Vianem stało się tak ogromne, że domagano się wydawania jego wszystkich książek, wierszy, opowiadań, wystawiania jego sztuk, wypuszczenia jego płyt z piosenkami. Powieść „L'Ecume des jours” uchodzi obecnie za jedną z najbardziej ulubionych książek młodzieży francuskiej. Jaka jest tego przyczyna? Powieść Viana opowiada historię miłości i to historię bardzo prościutką. Colin i Chloé kochają się i pobierają. Później Chloé zapada na ciężką chorobę. Colin robi wszystko, aby ją uratować od śmierci. I choć się całkowicie rujnuje, nie udaje mu się utrzymać Chloé przy życiu. Colin również ginie.

Mimo tej prostej fabuły powieść Viana robi wrażenie na młodym czytelniku francuskim i to znacznie bardziej niż dwa dzieła lat temu. Tajemni

ca powodzenia „L'Ecume des jours” polega na tym, że Vian przewidział dzisiejsze gusty, sposób myślenia i upodobania młodzieży francuskiej. Jego nieskrępowana wyobraźnia tworzyła obrazy tego rodzaju, jakie dziś spotyka się u najwybitniejszych twórców filmowych.

Vian kochał jazz, układał piosenki, za którymi dziś młodzież szaleje, bohater jego powieści Colin żyje w stylu, który podoba się młodzieży. I jeszcze jedno. Powieść Viana jest obok książki Alain-Fourniera pt. „Mój przyjaciel Meaulnes” historią o wielkiej miłości, romantycznej miłości ludzi żyjących w XX wieku. I wbrew pozorom, że młodzież nie lubi takich tematów, i choć zdawałoby się, że dzisiejsza młodzież dość ma książek o miłości, oba utwory cieszą się ogromną popularnością młodych czytelników.

WYSTAWA LEGERA W BADEN-BADEN

Pierwsza od dziesięciu lat wystawa dzieł Légera w NRE odbywa się w Baden-Baden. Płótna przywiezione zostały z muzeum Fernanda Légera w Blot w południowej Francji.

„YES I CAN”

„Paris-Match” nazywa go jednym z najbardziej fascynujących ar-



Sammy Davis.

tystów estradowych świata. „Sammy Davis jest urodzonym artystą music-hallu.” „Humanité Dimanche” poświęca zdjęciom i omówieniu sztuki

estradowej Sammy Davisa pięć kolumn. „Les Lettres francaises” wyraża się o nim z wielkim uznaniem. Ten niewielkiego wzrostu amerykański Murzyn zdobył sławę nie tylko w Ameryce, ale występuje z ogromnym powodzeniem w stolicach europejskich, a ostatnio występował w paryskiej „Olimpii”. Ma czterdzieści jeden lat, a od trzydziestu siedmiu lat występuje już na scenie. Bowiem mając lat czterdzieści cztery produkował się na estradach wraz ze swym ojcem i wujem. Do szkoły nigdy nie chodził. Po prostu nie miał na to czasu, tańczył i śpiewał na scenie. Będąc w wojsku nauczył się czytać i pisać, a jego nauczycielem w owym czasie był pewien sier-



MIREILLE MATHIEU W MOSKWE

Mireille Mathieu, młodziutka piosenkarka francuska, która nie tak dawno zaczęła swą karierę od nimal niewolniczego naśladowania stylu zmarłej Edith Piaf, święci teraz światowe triumfy. Po sukcesach w Ameryce i w NRE, wyjechała ostatnio wraz z zespołem music-hallu paryskiej „Olimpii” do Związku Radzieckiego, gdzie spotkała się z ogromną serdecznością i uznaniem. Po raz pierwszy w życiu spróbowała kawioru, sadząc początkowo, że zrobiony jest z... soczewicy. Po występach, a śpiewała siedemnaście piosenek, Mireille zwiędziała wraz ze swą siostrą Christiane (Mireille ma sześciu braci i sześć siostr) Moskwę.

Edith Piaf — pisze A. Makarow w moskiewskiej „Niedielni” — była postacią tragiczną. Nawet o szczęściu śpiewała tak jak o życiowym doświadczeniu (co m. in. może jest i słusznie). Mireille Mathieu przeciwnie. Ona należy do ludzi, o których się mówi, że chodzą tylko słoneczną stroną ulicy.

żanf, który pokazywał mu literę w książce... „Portret Doriana Gray” Oscara Wilde'a. Zwolniony z wojska z powodu wady serca, Davis wraca na scenę. Wkrótce poznaje Franka Sinatra, który w pełni ocenił jego ogromny talent. Obydwaj zostają serdecznymi przyjaciółmi.

Ulubionym powiedzeniem Sammy Davisa jest „Yes, I can” (Tak, ja mogę). Pod tym też tytułem wydał książkę, której treścią są jego własne przeżycia i dzieje. Opowiada w swojej biografii jak trudną drogę musiał przejść będąc Murzynem. Do music-hallu, w którym występował, wolno mu było wejść tylko bocznymi drzwiami. Odezuwał całe upokorzenie segregacji ra-

zaniem i przyjaźnią takich sław jak Frank Sinatra czy Charles Aznavour. Żoną Sammy Davisa jest piękna szwedzka aktorka May Britt. Jak twierdzą zgodnie krytycy, Sammy Davis posiada wyjątkowy talent i temperament sceniczny. Przez długi czas potrafił utrzymać salę pod urokiem swego tańca, śpiewu, dynamizmu.

Dlatego cieszy się ona żywo nie tylko wszystkim co się wokół niej



Mireille Mathieu.

dzieje, byleby nie było nudy i jednostajności. Takie robi wrażenie gdy śpiewa. Po koncercie zaś Mireille Mathieu przekształca się w grzeczną uczenniczkę jakby nie zdawała sobie sprawy, że to jej biją brawo, a jeżeli jej, to nie wiadomo co teraz należy zrobić.”



Stanisław Błędziński

PS. A fototy, gdzie są fototy ze spektaklu? Fototy — łódzkim zwyczajem — jeszcze nie gotowe, mimo że odbyła się już premiera prasowa.

JAN CZARNY

Liryka przedmiotów

Niezaprzeczalną zastępą PWSSP w Łodzi i jej pedagogów jest to, że uczelnia ta jak rzadko która potrafi znaleźć złoty środek między sztuką użytkową a sztuką czystą. Toteż wielu jej adeptów po ukończeniu szkoły pracuje w przemyśle jako doradcy artystyczni i projektanci i uprawia jednocześnie malarstwo sztalugowe.

Do takich należy Magda Kapuścińska, która zaledwie dwa lata temu otrzymała dyplom łódzkiej uczelni, a której dorobek malarski można obejrzeć obecnie na wystawie w Klubie Dziennikarza. Są to prace olejne dość pokaźnych rozmiarów, martwe natury oraz portrety. Malarka potrafi zagospodarować duże płótno nie wykraczając poza utrzymany w jednej tonacji kolor. Dwa, najwyżej trzy kontrastujące, barwy przeciwstawienia, często umieszczone w odległych punktach, stanowią klucz kompozycyjny obrazu. Całość cicha, o migotliwej szaroszarym tonacji, z przebijającymi od wewnątrz bielami. Płótna malowane są z umiarem. Nie ma na nich orgi kolorystycznych, ani fakturalnych — urzekają wrażliwością i kulturą malarską, zastanawiającą u tak młodej malarki.

Szeregownie na wyróżnienie zasługują martwe natury w swojej realizacji wykraczające poza stydnie i akademickie założenia. Utrzymane w manierze postimpresjonistycznej, nawiązujące do techniki bonnardowskiej, odbiegają jednak daleko



od punktu wyjściowego. Formalna ich strona jest tu tylko pretekstem do urzekającej filozofii i liryki przedmiotów. Są nowoczesne — środkami wypracowanymi dla innych celów i w innej epoce, przekazują jak najbardziej współczesne spostrzeżenia związane z rzeczą i nie tylko rzeczą, ale i z człowiekiem, w czasie i przestrzeni.

Ciekawe, że te humanistyczne właściwości posiadają w większej mierze martwe natury, obiektem których są pospolite sprzęty, niż portrety ludzi. Oglądający wystawę czyni mimo woli pod adresem autorki uwagę, aby ludzkie twarze malowała tak samo jak przedmioty, wierząc, że funkcja malarska regulowana jej wrażliwością nada im odpowiednią rangę. Aczkolwiek brami to paradoksalnie, ten swoisty humanizm poprzez „reizm” sprawdza się czestokroć w praktyce, nie tylko zresztą warsztatu malarskiego.

Notatki na MARGINESIE

Przeciętny widz ma prawo powiedzieć po prostu — bardzo mi się podobało.

Recenzent, czy krytyk musi do tego ostatecznego stwierdzenia wdrożyć, zalewając się potem, błyskając erudycją, komplikując i zdobywając swe wywody sofistyką. Oczywiście wszystko to pie i fotomontaż, bo ostatecznie te arcymądre kryteria estetyczne i tak muszą dać odpowiedź na jedno pytanie: podobało się czy nie?

Zostawmy więc tę niewdzięczną robotkę naszym recenzentom i krytykom. Powiedzmy po prostu: bardzo nam się podobało. A mowa jest o pierwszym w nowo otwartym teatrze pełnospektaklowym balecie Ludomira Różycykiego „Pan Twardowski”.

Ten balet jest jedyną w naszej sztuce naprawdą optymistyczną narodową epopeją! Bo gdzie indziej szukać takiego me nu?

z łaski kompozytora i librecisty faustowaty nasz czarnoksiężnik awansował na polskiego arcy

podrywacza (a któż z nas Polonusów o takiej roli nie marzy?);

został i kosmonautą, docierając na srebrny glob — o frajdo — przed Ruskimi i Jankesami (nie ma komentarzy...);

figlował, grzeszył, używał a ostatecznie — „jakoś to będzie!” Po jednym paciorku przeszedł w nowy, cnotliwy etap.

Jakże więc inny polski utwór dopieszcza nas aż takim zestawem pokus, grzechów a potem jeszcze kosmicznym happy endem. Oto rzecz, co się zowie, na pokrzepienie serc! Oto zaiste polska filozofia życiowa i jej odbicie w naszej własnej, a także i twórców baletu nad- i podświadomości.

Już z przytoczonych względów możemy uznać wybór tego właśnie baletu na prapremierę nowej łódzkiej wielkiej sceny baletowej — za arcytrafny. Ale są jeszcze i względy dalsze, potwierdzające taką ocenę.

Właśnie ten mity polskiemu sercu balet, dzięki swej nietrudnej, dalekiej od pokus nowoczesności choreografii świetnie wprowadził zespół na wielką i ambitną scenę. Co więcej: barwne to widowisko ma szansę nie tylko sprawdzić reakcję bardziej przygotowanego widza łódzkiego lecz również może z powodzeniem dokonać pewnej reedukacji widza masowego zmanierowanego wie-

oletnią konsumpcją dzieł typu Holiday on Ice itp.

Nie wdaj się oczywiście w ocenę choreografii spektaklu. Nie znam się na tym, więc zostawię ten problem łódzkim recenzentom i krytykom (którzy się też na tym nie znają). Zarzykując jednak twierdzenie, że nawet w epoce ogólnego przesytu tańcem narodowym, wywołanym m. in. doskonałością stylizowanych hopsoplaków Mazowsza i Śląska — że więc nawet w takiej „morderczej” konkurencji — widowisko o którym mowa cieszyło nasze oczy świeżością, oryginalnością oraz — albośmy to jacy tacy! — temperamentem.

Scenografia i kostiumy Mariana Stańczaka — to sama radość dla oczu. Uważam, że z wszystkich dotychczasowych premier Teatru Wielkiego własnie realizacja Stańczaka jest największym scenograficznym sukcesem. Ta krakowska szopka, nie przestylizowana i bezwstydnie kolorowa a wyzłacana, te smoki, koguty i nietoperze — środki napowietrznej lokomocji jak z naszych dziecięcych snów — wszystkie te cacka widownia nagradza huczynami, zastużony mi brawami. Kolorystyka krakowskiego rynku w kontraście z trochę surrealistycznym a trochę z meksykańską upiersonym piekłem, wszystko to w najwinnie niewymuszonej prostocie, ma po prostu odwagę być ładne. Stańczak zdołał zresz-

ta zachwycić nas i po ważną stylizacją sal królewskich. A do tego jeszcze jubilejskie szczegóły! Złoto ucieleśnione w kobiecym kształcie: zazdrość cię może i Bond i Goldfinger! A te dwanaście (ho, ho!) dziewięć Zodia ku! A ten nieprzerzysowany żydowski zespół instrumentalny (kapela na pięterku karczmym Rzym) przygrywający krakowskiemu ludkowi jak na jakimś festiwalu! A te globusy w scenie otwierającej! Bardzo, bardzo to wszystko smakowite...

Odnotujmy i zupełnie nowym: program Pana Twardowskiego opracowany graficznie przez Romana Matysiaka jest cymsem dla miłośnika książki.

Po szczepie cukru — szczypta soli.

Primo: wychodząc z Teatru Wielkiego zawsze myśliśmy o tym, że Łódź jest zakneblowana brakiem hoteli. Więc na czarta, koguta i zbowienie wieczne a la Twardowski zaklinam tych, w czyjej rzecz gestii — wyciągnijcie o cni możo wie sprawę łódzkich hoteli spod zielonego sukna, czyńcie larum, róbcie coś, mówcie coś — ale nie rdzewiejcie, tak jak dotąd!

Secundo: „Pan Twardowski”, przy nieustannych brawach widowni, już odtańczony teraz czeka nas Jezioro Łabędzie

DZUDZUMANI i MASONI

— Proszę o dżdżu od śmiechu — mówili różni ludzie podchodząc do stołu. I za kilka groszy dostawali jakieś dziwne rzeczy.

Dżdżu to talizman. Dżdżu może być wszystko. Prawdopodobnie wystarczy powiedzieć sobie, że to i to jest dla mnie dżdżu i już powstało nowe dżdżu. I to nie tyłko dla mnie, ale i dla innych. Bo jak inni dowiedzą się ode mnie, od czego ono jest, to każdy będzie chciał mieć dla siebie. I odstępując je albo może wziąć kilka groszy, albo zrobić piękny prezent.

Dżdżu jest od wszystkiego i, jako się rzekło, dżdżu może być chyba wszystko. Jest więc dżdżu od płodności i od bezpłodności. Od zdrowia i od choroby (dla osobistego wroga, który nieopatrznie założył za skórę!). Od urodzaju i od nieurodzaju. Od deszczu i od suszy, od szczęśliwego porodu, od kataru, od bólu zębów, od zmartwień (ogólnie), od dobrego handlu, od obfitych zbiorów, od ukazania weża. Jest też dżdżu od śmiechu — żeby zawsze było wesoło.

Co może być dżdżu? Żeby się dowiedzieć najlepiej pójść na plac targowy, jaki znajduje się w każdym mieście, a nawet większej wsi. Takie plac targowy w afrykańskim mieście, to jak Porte de Clignancourt w Paryżu. Stesknioma dusza ludzka znajduje tam wszystko, czego jej brakowało i czego będzie jej ewentualnie brakować w przyszłości.

No i są te stragany z dżdżu. Na straganie wybór ogromny — różne wcielenia dżdżu. Są więc pestki, korzenie, gałzki i suszone owoce różnych roślin. Jest suszony mały krokodyl. Stoł cała miednica suszonych oeromnych czarnych gasienic. To się je dla odmiany. Są suszone oczy kota. Pazury i kły jakichś zwierząt. Muszelki. Szkieletki małej ryby. Jaja jakichś ptaków. Polamane kawatki maszynierii. Są nawet znalezione fotografie nieznanym ludzi. Można sobie wyobrazić, że to jest podobna wrota i przekucie jej szpilka oko. Wróg powinien oślepnąć. Bardzo wygodne w użyciu! Są suszone karaluchy i różne, rzekłoby w drzewie fiurki. Każda z nich co innego symbolizuje i co innego oblicuje. Na gwóźdź wisł mały woreczek, a w nim jakiś proszek.

To wysuszony i sproszkowany mały pecherz. Preparat jest drogi, bo małe trudno w Ghanie dogonić. Po prostu — jest ich mało. Wisza jeszcze jakieś łańcuszki, medaliki, szpikulce.

Koło tego wszystkiego tłumek ludzi. Jedni uśmiechają się i pokrywają, bo magia za czyną już wygasała, ale inni milczą i w skupieniu szukają, czego im potrzeba. Bo jak powiedziano już dawno, wiara góry przynosi i czyni różne figle. Wystarczy wierzyć.

Tej magii należy się też mała dygresja. W Ghanie istnieje wolność wyznania i w związku z tym wolność za kładania wszelkich sekt i stowarzyszeń religijnych. Jedną z najpotężniejszych jest chyba masoneria. Chyba, bo trudno wiedzieć jak ta sprawa przedstawia się liczbowo. O wielu ludziach wie się, że są masonami. Nie muszą się z tym kryć. Ale z pewnością o znacznej większości nie wie się nic. Znałem wielu masonów. Wszyscy byli bardzo dyskretni na temat swojej organizacji. Obowiązuje ścisła tajność i fantastyczna solidarność. Poza tym, jest to orea nizacja ekskluzywna. Obiemuje wyższe warstwy społeczne i to niebiedne. „Wpisowe” kosztuje podobno sto dolarów. Suma kolosalna dla zwykłego śmiertelnika.

Masoni od czasu do czasu urządzają swoje zjazdy i konferencje w różnych częściach kraju. W początkach mojego pobytu w Kumasi nie była jeszcze wykończona płytalnia uniwersytecka. W soboty i w niedziele na płytalnie jeździło się do odległego o 60 kilometrów Obuasi. Obuasi to niewielkie, typowe miasteczko afrykańskie. Swoje istnienie zawdzięcza potężnej kopalni złota, dającej zatrudnienie dużej ilości mieszkańców. Poza tym nie ma w nim nic szczególnego. Jest ten basen, kilka kościołów różnych wyznań i meczet z wieżyczką mi naretu.

Tak więc jednej soboty, rano, jechaliśmy główną ulicą Obuasi. W połowie drogi do basenu spotkaliśmy przedziwny procesję idącą naprzeciw nam. Ulica szła kolumna czarnych dżentelmenów w frakach i w cylindrach. Było ich ponad stu pięćdziesięciu. Szli w zwartych szeregach,



czwórkami, jak w wojsku. Przed kolumną stanowią orkiestra złożona z parudziesięciu takichże panów w frakach. Grali jakiegoś marsza pod batutą dżentelmena, również we fraku i w cylindrze, który idąc na czele wymachiwał potężną łagą zdobioną srebrem i złotem. Byli to masoni, którzy przyjechali tu na jakiś zjazd i teraz szli właśnie do sali kinowej wynajętej na ten cel. Widok był, można rzec, szokujący w zestawieniu z kaczkami, kurkami i małymi dziećmi rozbiegany mi po drodze.

Innym znowu razem, dość późno w nocy ujrzałem przed sobą kolosalną kolumnę samochodów, ciągnącą się aż po sam uniwersytet i wyraźnie skręcającą na jego tereny. Na całej szosie było aż widno od tego. Mercedesy, Humbery i im podobne. W każdym czterech, pięciu panów w cylindrach. Wszyscy jechali na uniwersytet. Ołbrzymi parking przed budynkiem, w którym mieli swoje zebranie, lśnił od wspaniałych maszyn. Czarni panowie w uskrzydłonych frakach wchodziłi na stopnie. Miałem wrażenie, że czarne nieoperze latają mi nad głową.

Masoneria: to ta magia dla szczęśliwców, których stać na nią. Dżdżu to magia dla reszty. Ale dżdżu to tylko część magii dla ubogich. Istnieje jeszcze druga część. Dziwniejsza, całkiem niejasna, bardziej niebezpieczna. Te drugą część stanowią dżdżumani. Dżdżumani to czarownik. Jest ich dużo. Nie muszą to wcale być ludzie zyciaw gdzieś na odludziu. Są jak inni. Mieszkają i pracują w miastach, w wsiach, w różnych zawodach. Ich władza nie jest bardzo rozległa. Nie potrafią np. zamienić kamienia w chleb, ani sprowadzić deszczu, kiedy jest susza. Ale potrafią spenetrować ludzką psychikę i spowodować w niej zamieszanie. Przy tym, dziwna rzecz, wszyscy oni są w jakimś sensie „negatywni”. Nie słyszy się o dżdżumanach „dobrych”. Powiedzieć o nich, że są wcieleniem zła, byłoby jednak jakimś pochlebstwem. To za wysoka ranga. Są raczej wcieleniem niekiej złościwości. Dużo ludzi przychodzi do nich ze strachem po radę. Kogoś, kto im się naraził spotykała potem przez długi czas jakiś głupie, drobne nieprzyjemności. Ogólnie biorąc są nielubiani, ale jednocześnie otoczeni szacunkiem.

O dżdżumanach słyszałem różne historie. Dwie z nich były szczególnie charakterystyczne. Pierwsza opowiedziała mi mi ludzie, u których ona się zdarzyła. Druga miała miejsce parę lat przed moim przyjazdem do Ghany. Krążyła już wiece jako legenda.

Otóż ta pierwsza zdarzyła się pewnej rodzinie holenderkiej. Ludzie ci, po przyjeździe do Ghany i zainstalowaniu się, przyjęli kucharza. Miał trzydzieści parę lat. Bardzo dobrze gotował i bardzo był porządny. Chodziła o nim wieść, że jest dżdżumanem. Gospodarzy nie to nie obchodziło — był dobrym pracownikiem. Ale w krótkim czasie zaczęli się schodzić do niego różni klienci. Same kobiety. Najpierw było tego niewiele, ale stopniowo kolejka rosła. Kucharz miał swój domek przy domu gospodarza. Tam też przyjmował swoje pacjentki i udzielał porad. Zresztą w chwilach wolnych od zajęć, gospodarzy zaczął jednak w końcu denerwować tłum obcych ludzi, waleśających się cały dzień koło domu. Zażądali zaprzestania tych praktyk. Kucharz jednak nie sobie z tego nie robił, a nawet zaczął się zachowywać prowokująco. Stosunki psuły się z dnia na dzień. Ostatecznie Holender miał tego dość i wymógł kucharza na pracę. Dżdżumani nie przejął się tym zbytnio. Spokował swoje manatki i odszedł. Na odchodnym powiedział tylko, że niedługo wróci tu z powrotem.

Minał tydzień, w ciągu którego gospodarze bezskutecznie usiłowali znaleźć kucharza na miejsce wyrzuconego. Nikt nie chciał zająć miejsca po dżdżumanie. Bali się zemsty. W końcu zgłosił się jakiś człowiek z dalekich stron. Zdał się, że chce zarobku przeważał szła u niego obawa przed zemstą.

Kiedy tylko zaczął pracować, zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Następnego dnia do ogrodu wpadł jakiś bezdomny pies i bez żadnego powodu ugryzł w nogę żonę gospodarza. Pania odwiedziła do szpitala w celu zrobienia zastrzyku przeciwko wściekłości. Minęły dwa dni. Cała rodzina siedziała przy kolacji. W nownym momencie, około wielki skłany kłosa od lampy wiszącej nad stołem. Prawdopodobnie przetrząsał się od żarówki. Runął w sam środek stołu rozbiłając w drobny mak wszystko, co na nim było. Nic się nikomu nie stało, ale gruzu była kupa, a ryż z sosem zbierano ze ścian jeszcze na drugi dzień. W domu zapanował nienrzyemny nastrój. Nikt nie mógł mówić, ale każdy myślał to samo. Mi nety następane trzy dni i nowo przyjeły kucharz posłiznął się w kuchni na skórkę od banana i złamał nos. Odwieziono go do szpitala. Nie było mowy, żeby przedkro wrócił do pracy. Zresztą on sam

oświadczył stanowczo, że do państwa już nie wróci.

Zaraz po wypadku zjawił się dżdżumani. Był pogodny i uśmiechnięty. Słyszał, że no wy kucharz miał wypadek i nie będzie już pracować. Holendra, chociaż z natury flegmatyczny, omal szlag nie trafił. Chciał wyrzucić dżdżumana. Ale na szczęście stała przy nim jego żona. Zaczęły się pertraktacje. Gospodarze byli skłonni przyjąć go z powrotem pod warunkiem, że nie będzie przyjmować klientów. On z kolei żądał dla siebie czterech dni w tygodniu na przyjęcia. W końcu umowa stanęła na dwóch dniach — obie strony w tej formie akceptowały ją. Dżdżumani przestęgał rzeczywistość tych dwóch dni i życie ułożyło się znowu normalnie.

W sumie biorąc historia była raczej śmieszna i wszystko można było ostatecznie podciągnąć pod przypadek. Druga historia była mniej śmieszna, a za to bardziej typowa.

W mieście mieszkał Hindus, właściciel sklepu. Mieszkanie miał na piętrze małego domu przy ulicy, a na parterze sklep ze wszelkiego rodzaju żelazstwem. W sklepie zatrudniał kilka osób, między innymi młodego chłopaka, który pracował jako pomocnik magazyniera. Magazyn był z tyłu za sklepem. Pewnego dnia, do właściciela stojącego za kontuarem podszedł jakiś czło wiek i zażądał widzenia się z tym chłopcem. Powiedział przy tym, że chłopak ukradł mu pieniądze. Właściciel wywołał chłopca z magazynu. Wtedy przybył powiedział do niego kilka zdań w narzeczu i wyszedł. Właściciel nic z tego nie rozumiał, więc zażądał wyjaśnienia. Chłopak nie chciał początkowo mówić, w końcu jednak oświadczył, że nieznamy oskarżył go o kradzież i zapowiedział, że za karę „przerwanie rozumieć własne myśli”. Chłopiec twierdził, że o żadnych pieniadzach nie wie, ale nadrobił przy tym mina, ale widać było, że jest wystraszony.

Następstwa tej wizyty rozwijały się przez cztery tygodnie. Pomocnik magazyniera za czął być roztrągniowy. Coraz częściej popełniał jakieś pomylki. Zrobił się małowymny. Zaczęły nawiedzać go jakieś lęki. Właściciel znalazł go parę razy schowanego w jakichś kątach magazynu. Był zupełnie przerażony i zdawał się nie poznawać swojego siebie. Potem coraz częściej bezkował coś do siebie. Zdarzyło mu się parę razy zerwać z miejsca z przerażeniem, jakby ktoś stanął nagle obok niego. Wreszcie któregoś dnia ze straszny wrzaskiem wypadł z magazynu, przebiegł przez sklep, i wyskoczył na ulicę prosto pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Nie został zabity, ani nawet bardzo potłuczony. Ale kiedy zawieziono go do szpitala, okazało się, że jest obłąkany.



Lewym
okiem

W SPRAWIE PIEGÓW

Nie już na tym świecie nie ma pewnego. W połowie czerwca w Polanicy pali się w piecach, bo kuracjusze marzną przy ośmiu stopniach na dworze. Osiem stopni — to normalny, przedwojenny polski styczeń, nie czerwiec.

Mimo to kupujemy jednak w kiosku „Ruchu” krem do opalania o pięknej nazwie „Sombbrero”. Nazwę przyjęto gwoli egzotycznego brzmienia, nie sensu, jak to się często zdarza. Do kremu poznańska wytwórnia „Lechia”, znana nam dobrze z przekrojowych krzyżówek z kociakiem, dołącza ulotkę z takim między innymi pouczeniem:

„Praktycznym sposobem zapobiegającym nadmiernemu występowaniu piegów jest unikanie słońca, co MOŻNA PRZEPROWADZIĆ przez za-

staniecie narażonych na światło słoneczne części ciała”.

Czyli — ażeby zapobiec piegom, należy unikać słońca. Mniejsza już o styl, według którego UNIKANIE MOŻNA PRZEPROWADZIĆ PRZEZ ZASEANIANIE. W „Lechii” pracują farmaceuci, nie stylści.

Ponieważ raz mi już pewien dziennikarz łódzki zarzucił, że czeplam się cudzyśłowów i cudzych słów, chciałbym zwrócić uwagę Szan. Państwa, co zanotowałem w swych dziennikach, publikowanych fragmentami w „Twórczości”. Albert Camus: „Rewolucja 1905 roku zaczęła się w Moskwie od przecinków. Mianowicie zastrajkowali pracownicy drukarni płatni od ilości znaków drukarskich, protestując przeciw temu, że przecinków i kropek przyncipał nie wlicza do akordu”. Tym razem chodzi jednak nie o przecinki, nie o styl, ani nawet o „Sombbrero”, tylko zwyczajnie o słońce.

O kąpiel w basenie mowy nie ma. Zostawiamy tę przyjemność na zimę, na poczciwy kryty basen w łódzkiej gimnazjum przy ul. Sienkiewicza. Zapłacimy trzydzieści złotych za miesiąc, co razem z domową drużyną zapamiętałych pływaków stanowi łącznie ponad stużłotową pozycję w miesięcznym budżecie rodzinnym, po czym okaże się, że jednej niedziel jest święto sportowe, w następną niedzielę mecz, w jeszcze następną — zmiana wody. Ponieważ na co czwartą niedzielę wypada z kolei katar albo brak czasu, optata za basen staje się automatycznie pozycją straconą, przegrana jeszcze głupiej, niż w Totolotku.

Nabycie jakiegokolwiek biletu jest — tak mnie uczyli sławni ekonomiści — formą zawarcia dwu-

stronnej umowy. Ale nie u nas. Myśmy nasze umowne świadczenie wykonali, placąc za bilet, a druga strona śmieje się w kółak, zmieniając wodę. Tak całymi latami, nie tylko na tym jednym odcinku.

Tłumaczę mi, że powinienem zrozumieć, jeśli nie wpuszczają nas na basen żądając zaświadczenia lekarskiego. Nie mogę jednak, bo nikt przez parę lat zaświadczeń takich nie żądał, a o nowym przepisie nikt nas nie zawiadomił. Nas — kontrahentów umowy. Dmuchać ich w bambus — powiedziano sobie i minęła jeszcze jedna niedziela bez rozkoszy cawlowania i bez zwrotu gotówki.

Już nie wspominał najoczywistszej oczywistości, że krytych basenów jest w Łodzi za mało, nie prawie, a odkrytych — drugie nic. To osobny temat. Nie mam takiego szczęścia jak Wrocław, gdzie (cytuję za „Życiem Gospodarczym”) przed paru laty zbudowano przy pewnej szkole ogromnymi kosztami ogromny amfiteatr, nie wiadomo po co. Po paru latach postanowiono zbudować amfiteatr na kryty basen — a miż na coś się przyda?

Żeby tak u nas jakiś amfiteatr! A póki co — siedzimy w pełni sezonu w Polanicy, kładziemy po dwa swetry i biegamy w kółko po parku, jeśli deszcz nie pada. Ta konkurencja lekkoatletyczna ma już swoją nazwę: biegi na zabieci. Albowiem i tu zdarza się zmiana wody, brak wody, brak gazu w wodzie i różne inne braki, a wtedy kto pierwszy ten zaliczył i spokój.

Był się nie denerwować i nie utrudniać kracji, tylko spokój może nas uratować!

ĆWIEK